



**CZY POLSKIMI UCZELNIAMI RZĄDZI**

# Mafia profesorska?

**UJAWNIAMY PORAŻAJĄCE PATOLOGIE  
ŚWIATA AKADEMICKIEGO**

**W numerze:****Gangsterzy w gronostajach**

Anonim I ..... 3

**Ukarać zdolnych, zwasalizować miernych**

Anonim II ..... 7

**Dzień z życia mafii**

Anonim III ..... 11

**PO, PiS i rozkład systemu**

Z prof. Antonim Dudkiem rozmawia Michał Kuź ..... 14

**Ujawnić majątki urzędników!**

Piotr Trudnowski ..... 20

**Prawdziwi twórcy Państwa Islamskiego**

Aleksandra Rybińska ..... 25

**Kieżun, personalizacja i zapomniana dekomunizacja**

Bartłomiej Radziejewski ..... 30

**Budujemy kontrolitę dla Polski**

Z Krzysztofem Mazurem rozmawia Krzysztof Wołodźkor ..... 33

## Gangsterzy w gronostajach



### ANONIM I

Akademik i doradca, pewien czas po opisanych zdarzeniach wrócił do pracy naukowej na innej uczelni

**Profesor uznał, że powinienem zapłacić „uczelni”, czyli w praktyce uniwersyteckiej wierchuszce, haracz z zagranicznego stypendium.**

Duże polskie miasto, czołowa krajowa uczelnia. Po dwóch latach wracam z zagranicznego stypendium z nadzieją na – obiecaną przed wyjazdem – przedłużenie umowy o pracę. Skromna pensja adiunkta to ledwie 2,5 tys. zł na rękę, na Zachodzie dziekan proponował mi za zostanie ponad 3 razy tyle. Ale wolę wrócić. Do dziewczyny, do rodziny, do przyjaciół, do ojczyzny.

### Powrót

Szef, promotor mojego doktoratu, jest teraz nieprzyjemny. – Ile pan tam zarobił? Ile zaoszczędził? To kupa kasy chyba była? – wypytuje. – Panie profesorze – dukam zdeprymowany. – Stypendium wynosiło 2 tys. euro miesięcznie, z kawałkiem. Równowartość ichniej średniej pensji. U nas to sporo, tam, przy dużo wyższych kosztach życia, nic nadzwyczajnego. Ale nie narzekam, trochę odłożyłem. – Konkretnie ile? – dociska szef.

Co za impertynencja! Płacili obco-krajowcy, sam ten wyjazd wywalczyłem,

co mu do moich oszczędności? W międzyczasie dochodziły mnie słuchy, że uczelniane towarzystwo, do którego mój przełożony należy, coraz śmielej sobie poczyną. Ponoć praktycznie przejęli kontrolę nad uniwersytekiem i bezwstydnie wypłacają sobie coraz większe dodatki za fikcyjne zlecenia. A dług „firmy” rośnie.

Ale nie przejmowałem się tym specjalnie. Patologie są w Polsce wszędzie. Trzeba robić swoje. Wytworzyłem przez te dwa lata ponadprzeciętny dorobek: kilkanaście artykułów krajowych, kilka zagranicznych (w tym dwa w pismach z najwyższej punktowanej listy filadelfijskiej), wygłosiłem parę referatów za granicą. Wielu kolegów patrzyło na to z zazdrością. W poczuciu dobrze wykonanego obowiązku liczyłem więc, że mój dorobek mnie obroni.

### Propozycja

– To chyba raczej moja sprawa, panie profesorze – odpowiadam zatem po chwili namysłu na jego pytanie. – Pan raczy

żartować! – odparowuje. – Bez wcześniejszej kariery u nas nigdy by pan tam nie trafił. Pan sobie przez dwa lata balował po świecie, a tu ludzie za polskie skromne pensje tyrali. Uczelni coś się z tego urobku należy.

Żart? Przypadkowa niezręczność? Nic z tych rzeczy. Profesor uznał, że powinienem zapłacić „uczelni”, czyli w praktyce uniwersyteckiej wierchuszce, która rozdysponowuje każdy dodatkowy grosz między siebie, haracz z zagranicznego stypendium. Jednak – jak mi wyjaśnił – „to by nie przeszło prawnie”, więc, jako ekwiwalent, proponuje mi rok pracy za darmo, żeby „jakoś to odrobić”. Potem „mielibyśmy zobaczyć”, czy „się sprawdzam”, i zdecydować, czy kolejny rok popracuję za darmo, czy może już jednak za pieniądze, jak inni.

Nie zgodziłem się, więc próbowali mnie przeczołgać inaczej. Zaproponowali 840 zł na rękę za prowadzenie trzech zajęć w tygodniu jako zewnętrzny współpracownik. 35 zł za godzinę (akademicką, czyli 45 minut), a więc stawka jak na Polskę przyzwoita, tyle że za taką sumę przecież nie wyżyję. Sam wynajem pokoju to połowa tego, jedzenie – następne czterysta. A gdzie rachunki, gdzie książki? Co gorsza, ganiając trzy razy w tygodniu na uczelnię – bo szef wyraźnie zasugerował, że moja postawa nie uprawnia mnie do przywileju zgrupowania zajęć jedno po drugich – innego etatu nie znajdę.

Poza tym, już wiem, o co w tym chodzi. Chcą mnie przeczołgać, upokorzyć. Zrobić ze mnie klienta, ich żołnierza. Jednego z tych lizusów, co to ciągle pełzają przed profesorami, a z czasem – nawet jeśli nic istotnego nie zbadali, a ich książki roją się od błędów – sami awansują do towarzystwa. Po iluś latach takich relacji są rzecz jasna kompletnie wyzuci z „mło-

dzieńczych” naukowych ideałów. A co do mnie, oni dodatkowo wiedzą, że na żadnej innej uczelni pracy teraz nie znajdę, bo przeciągnęli sprawę do końca września, w tej branży wszystkie etaty na najbliższy rok są już rozdane.

## **Oni zadziałali jak mafia, ale ja przecież nie mam dowodów na żadne przestępstwo**

Pieprzę to. Nie po to zostałem naukowcem. Idę do firmy doradczej, dla której pisałem okazjonalnie analizy, proponuję swoje pełnowymiarowe usługi. Dają trzy tysiące na rękę przez trzy miesiące, jak się sprawdzę – obiecują co najmniej 500 zł podwyżki i umowę na rok, potem na czas nieokreślony i następną podwyżkę. Biorę, z pocałowaniem ręki. Nie to chciałem robić, ale nie mam wyjścia, na chleb trzeba zarobić.

### **Mafia**

Znajomego prawnika pytam, jakie szanse miałbym w sądzie. Tłumaczy, że ciężka sprawa, bo formalnie trudno się przyczepić. Mówi, że oni zadziałali jak mafia, ale ja przecież nie mam dowodów na żadne przestępstwo. Żebym chociaż nagrał którąś z tych rozmów. Ale nie nagrałem.

Mafia – to dobre słowo. Profesura opływa w prestiż, wielu jej członków ma dostęp do polityków i mediów. Tworzą bardzo wpływową społeczność, obdarzoną faktycznie pełną kontrolą nad uczelniami, przez które przechodzi mnóstwo publicznych pieniędzy. Nie inaczej: to mit, że

polskie uniwersytety nie mają funduszy. Mają, tylko je przewalają.

Zasada autonomii uniwersytetu w połączeniu z nieprzejrzystością decyzji sprawia, że kto rządzi akademią, może płynący od podatników i studentów strumień gotówki rozdysponowywać praktycznie według własnego widzimisię. Kto np. dojdzie, że referat profesora tak naprawdę napisał jego asystent i że dalece nie wart był on ceny, którą uczelnia za niego zapłaciła?

Na tego typu rzeczach można „kręcić lody” na dziesiątki tysięcy złotych miesięcznie (na głowę). Do tego dochodzi słabo znana kwestia tzw. premii z funduszu zasadniczego. To tak naprawdę podział zysków uczelni między jej kierownictwo, tak jak wspólnicy dzielą zysk ze spółki. Tyle że uniwersytet to nie firma, a zarządzające nią towarzystwo w gronostajach – to nie partnerzy w sensie biznesowym. Są de facto pracownikami najemnymi. Jednak w swojej mafijnej mentalności i praktyce traktują akademię jak cytrynę do wyciśnięcia.

Wszystko bez wyraźnego naruszania przepisów. Tak jak Alowi Capone przez lata nie potrafiiono udowodnić żadnego przestępstwa, choć wszyscy wiedzieli, że codziennie je popełnia, tak niezwykle trudno cokolwiek udowodnić sitwom uczelnianym.

Do tego dochodzą potężne dysproporcje dochodów. O ile podstawowe pensje adiunktów i profesorów są – jak na wagę pracy i w porównaniu ze standardami zachodnimi – dość skromne (odpowiednio: 3,5 tys. i 4–5 tys. zł brutto), o tyle rektorzy, o czym mało się mówi, tworzą zupełnie inną ligę. Zarobki sięgają tu 2–3-krotnie wynagrodzenia ministra, oscylując zwykle między 20 a 30 tys. zł miesięcznie. A to tylko ustawowo jawna część wynagrodze-

nia. Kwoty najróżniejszych dodatkowych zleceń nie są znane, a uczelniane wierzuchuszki mają w zasadzie pełną swobodę w transferowaniu ich do swoich kieszeni. Znając ich mentalność, muszą to być robiące wrażenie kwoty...

## System

To wszystko daje statystycznemu profesorowi bardzo silny bodziec do tego, aby „trzymać z władzą” (uczelnianą), niż skupiać się na porządnej robocie naukowej i dydaktycznej. A młodych naukowców ustawia w kolejce po aprobatę starszych kolegów, od których są formalnie i finansowo zależni.

Wielu, może nawet większość profesorów, mimo to nie robi przekrętów. Ale znaczna część jednak tak. W mojej byłej uczelni ekszef był jednym z pięciu głównych graczy, mających umocowanie we władzach wydziału i całego uniwersytetu. Aktywnie wspierało ich maksymalnie 20 klakierów. I to wystarczyło, żeby zdominować stuosobowy senat.

Dlaczego? Gdy żaliłem się innym, uczciwym profesorom, rozkładali ręce. Uznawali tę sitwę za „nie do ruszenia”, mówili, że muszą myśleć o swoich wychowankach. Jeden opowiedział, jak próbował się im postawić, i w rewanżu odsunęli go od grantu i przeczołgali mu doktoranta.

Do tego dochodzi cały wachlarz sposobów budowania i wymuszania lojalności, związany z hierarchiczną strukturą i uznaniowością opinii. Kiedy młody pracownik „nie szanuje starszych”, nie chcąc brać udziału w wątpliwych praktykach, zawsze można mu, czysto uznaniowo, w oparciu o profesorski autorytet, odrzucić doktorat czy habilitację. Wtedy ma trzy wyjścia:

albo w oblanej pracy nic nie zmieniać i obronić ją z sukcesem dzięki przystąpieniu do układu. Albo próbować obronić ją w innym miejscu. Albo zmienić zawód.

Promuje się w ten sposób przede wszystkim ludzi „biernych, miernych, ale wiernych”, kooptując ich w toku wieloletniej fazy recenzowania i podległości jako klientów do patologicznego układu. Co to oznacza dla jakości nauki i nauczania, jest oczywiste. Żadna polska uczelnia nie może się przebić do pierwszych trzech setek najlepszych uniwersytetów świata, a więc nawet do drugiej ligi.

## **Panaceum**

Co z tym można zrobić? Brak mechanizmów samoweryfikacji w połączeniu z silną selekcją negatywną i szeroką autonomią uniwersytetów polskich sprawia, że poważniejsze zmiany mogą nastąpić tylko w wyniku odgórnego „szarpnięcia cugłami”. Może go dokonać tylko bardzo zdeteminowany i silny minister, mający dla programu sanacji nauki pełne poparcie premiera. Niestety, na razie nikogo takiego na horyzoncie nie widać...

## Ukarać zdolnych, zwasalizować miernych



### ANONIM II

Akademik mocno zniechęcony,  
ale rozważający kontynuację kariery naukowej

**Czyny, które normalnie dla zewnętrznego obserwatora jawią się jako kompromitujące, dla akademickiego „dworu” są gwarancją lojalności.**

To zadziwiający paradoks, że uniwersytety z jednej strony są kolebką innowacji społecznych i technologicznych, jednocześnie same często pozostając strukturami anachronicznymi. Czasem wręcz skansenami obskurantyzmu.

Trzy lata temu świat akademicki w Polsce zelektryzowała dyskusja na temat patologii panujących na uczelniach zainicjowana przez „manifest” Andrzeja Dybczyńskiego, który sytuację na uniwersytetach przyrównał wprost do feudalnego dworu. Patologie opisane przez wrocławskiego politologa nie były jednak specjalnością jego macierzystej uczelni. W różnym stopniu zdają się trawić większość polskich szkół wyższych.

Właśnie metafora feudalnego dworu zdaje się wyjątkowo trafnie ujmować społeczne uwarunkowania sprzyjające powstawaniu i trwaniu zjawisk patologicznych na naszych uczelniach. Sprzyja to działaniom skrajnie nieetycznym, a nawet przestępczym, stąd zasadne wydają się tezy o uniwersyteckiej mafii (lub mafiach) w Polsce. W niniejszym tekście interesuje

mnie jednak przede wszystkim owa dworskość i na niej się tu skupimy.

### Feudalizm XXI wieku

Były rektor jednego z czołowych polskich uniwersytetów objaśnił mi mechanizm, za którego pomocą na jego uczelni różni rektorzy budowali swoje „dwory”, czyli sieci nieformalnych zależności, przysług i zobowiązań. Opowieść tegoż rektora była jedną z najważniejszych lekcji na temat władzy, jakie dane mi było dostać. Zdałem sobie z tego sprawę wtedy, gdy te same mechanizmy tworzenia „dworów” zacząłem obserwować także poza uniwersytetem.

Akademia jest instytucją wyjątkowo sprzyjającą powstawaniu „dworów”, ponieważ panujące tam stosunki „mistrz-uczeń” są dobrym podglebieniem dla powstawania zależności klientelistycznych. Dlatego też na każdym szczeblu organizacyjnym uczelni mogą wykształcić się dwory, także na poziomie wydziału, katedry czy zakładu.

Aby lepiej zrozumieć, jak powstaje i funkcjonuje „dwór”, warto najpierw zapoznać się z pojęciem „nienależnych korzyści”. W badaniach nad korupcją „nienależne korzyści” to takie, których zgodnie z obowiązującym w danej zbiorowości prawem i obyczajem dana osoba nie powinna bezkarnie odnieść. W praktyce opracowanie skończonego katalogu jednoznacznych zasad odróżniających korzyści „należne” i „nienależne” jest trudne i najczęściej nie sposób uciec tu od pewnej arbitralności. I właśnie ta ostatnia właściwość sprawia, że zakresem „należności” i „nienależności” (w konsekwencji niekaralności lub karalności czynu) można manipulować.

Wróćmy teraz do akademickich „dworów”. Mają one strukturę hierarchiczną. Na czele każdego musi stać jeden patron. Niektórzy mają do owego „pana” stały dostęp, inni muszą się mocno starać o wysłuchanie, np. poprzez pośrednictwo tych pierwszych. Dwór opiera się na relacjach osobistych, czasami pokrywających się z zależnościami służbowymi, a czasami wręcz przeciwnie. Ktoś, kto w formalnej strukturze uniwersytetu zajmuje średnią pozycję, może w obrębie „dworu” znajdować się na szczycie hierarchii i vice versa – osoba pozornie posiadająca władzę z tytułu sprawowania przez siebie określonej funkcji dającej pewien zakres władzy może w praktyce spotykać się z obstrukcją i ignorancją podwładnych.

### Cztery mechanizmy

W jaki sposób tworzy się i utrzymuje „dwór”? Przede wszystkim rektor może wykorzystywać swoje formalne prerogatywy do budowania nieformalnych zobowiązań. Może wpływać na kariery pracowników naukowych w taki sposób, aby

zyskać ich osobistą wdzięczność, która w przyszłości może mu się przydać w postaci różnych przysług.

Ogólną zasadą budowania dworu jest manipulowanie dystrybucją korzyści, zarówno należnych, jak i nienależnych. Można wyróżnić kilka głównych typów tej manipulacji.

**Pracownik, który uważa, że swoją karierę zawdzięcza wyłącznie sobie, swojemu talentowi i ciężkiej pracy, nie jest pożądanym partnerem dla „głowy dworu”**

Pierwszy z nich to blokowanie korzyści należnych. Pracownik, który uważa, że swoją karierę zawdzięcza wyłącznie sobie, swojemu talentowi i ciężkiej pracy, nie jest pożądanym partnerem dla „głowy dworu”. Taki człowiek zachowuje wiarę we własne możliwości i pewną autonomię decyzyjną. W interesie „głowy dworu” będzie pokazanie takiemu pracownikowi miejsca w szeregu np. poprzez czasowe zablokowanie awansu. Chodzi o to, aby dać podwładnemu do zrozumienia, że, dajmy na to, dopuszczenie do habilitacji zawdzięcza nie sobie, ale przychyłności kadry, której winien jest wdzięczność (o znaczeniu habilitacji niech świadczy to, że w środowisku akademickim określa się ją, tylko pół żartem, jako „licencję na zabijanie”). Chodzi o to, aby wytworzyć w młodym naukowcu przeświadczenie, że jego prace naukowe „ledwo się załapują”



i że bez pewnego wsparcia i życzliwości środowiska nie ma on szans na karierę.

Techniki tej doświadczył mój kolega, który starając się o awans na kolejny stopień, został najpierw pouczony przez „życzliwych” z instytutu, że jego dorobek jest przeciętny, jego praca zaś w niepełnym zakresie spełnia wymagania stawiane tego typu rozprawom, w związku z czym lepiej, by chwilowo zaniechał starań o nominację. Ignorując owe rady, kolega z powodzeniem przeszedł procedurę awansową w innym ośrodku akademickim, a ci sami koledzy, którzy wcześniej krytykowali jego pracę, później wskazywali go jako wzór do naśladowania.

Drugi typ „dworskiej” manipulacji to przyznawanie korzyści nienależnych. Polega to na faworyzowaniu pracowników przeciętnych i słabych, którzy są przez dwór „ciągnięci za uszy”, i tylko dzięki temu mogą zrobić jako taką karierę. Żeby zyskać naukowy dorobek, potrzeba środków na prowadzenie badań i na dystrybuowanie ich wyników. W tym kontekście furtką do kariery naukowej staje się kontrola przyznawania środków na badania. Pracownik, któremu da się do zrozumienia, że grant otrzymał nie z powodu wartości projektu, ale przychylności dysponenta środków, będzie bardziej właściwym partnerem dla „dworu”. Inny przykład „ciągnięcia za uszy” to dopisywanie „przyjaciół dworu” jako współautorów badań czy publikacji, w sytuacji gdy nie mieli oni faktycznie nic wspólnego z ich merytorycznym autorstwem.

Trzeci ogólny typ manipulowania dystrybucją korzyści to ratowanie przed sankcją. I chyba właśnie tutaj zasada się najbardziej ciekawy zakres nieformalnych wpływów kierowników jednostek. Rektor w wielu sytuacjach posiada ekwiwalent „prawa łaski”, dzięki któremu, pisząc kolokwialnie – można komuś uratować tyłek.

A nic tak nie cementuje dozgonnej wdzięczności jak uratowanie przed karą i kompromitacją. Stąd też na wielu uczelniach przez lata można było spotkać (gdzieniegdzie wciąż można), tzw. wiecznych asystentów czy w skrajnej sytuacji profesorów, którym udowodniono plagiat.

Czwarty typ „dworskiego” zarządzania dystrybucją korzyści, będący pewną perfidną odmianą ratowania przed sankcją, to „kara, która w rzeczywistości jest nagrodą”. Najłatwiej będzie objaśnić ten mechanizm na przykładzie. Pewien pracownik naukowy czuł się tak pewnie w „dworskiej” hierarchii, że popełnił czyn, za które groziły mu sankcje karne. „Dworowi” udało się sprawę na tyle wyciszyć, że obyło się bez interwencji prokuratury. Powołując się na troskę o dobre imię uniwersytetu, postulowano, by sprawę załatwić wyłącznie wewnętrznymi siłami uczelni. Podejrzanego pracownika po cichu usunięto ze stanowiska. Trafił... na inne stanowisko. Mianowicie ze specjalnie wydzielonych środków zafundowano mu samodzielną jednostkę badawczą, ze znakomitym wyposażeniem. Przewrotność tej sytuacji polega na tym, że czyny, które normalnie dla zewnętrznego obserwatora jawią się jako kompromitujące, dla „dworu” są właśnie gwarancją lojalności.

### **Niechwalebna izolacja**

Opisane mechanizmy budowania „dworu” nie są w żadnym razie wyjątkowe dla struktury uniwersyteckiej. Te same zjawiska można zaobserwować w partii politycznej, w jednostce wojskowej czy korporacji. Jednakże specyfika organizacyjna uniwersytetów sprawia, że są one wyjątkowo podatne na powstawanie i trwanie struktur „dworskich”. Tradycyjnie uniwersytety cieszą się sporą autonomią or-

ganizacyjną. Ewentualne zarzuty o marnotrawienie środków często można złagodzić, powołując się na ową autonomię, a także na wolność badań naukowych czy też na frazesy o doniosłości kulturowej misji ośrodków akademickich. W przeważającej mierze uniwersytety w Polsce funkcjonują dzięki środkom publicznym, nad których efektywnością wykorzystywania obywatele mają niewielką kontrolę. W praktyce uniwersyteckie „dwory” funkcjonują właśnie dzięki daleko idącej izolacji od świata zewnętrznego.

Konkluzja? Na naszych uczelniach panują – poza nielicznymi wyjątkami – skrajnie niezdrowe, „feudalne” relacje. To jedna z głównych przyczyn tak marnego stanu polskiej nauki. Odpycha to od świata akademickiego najzdolniejszych, najbardziej potrzebnych ze względu na misję uniwersytetu ludzi lub w najlepszym razie ich tłamsi. Im dłużej tak jest, tym trudniej o poprawę. O żadnym samooczyszczeniu nie może być mowy.

Sanacja może przyjść tylko z zewnątrz – ze świata polityki.

## Dzień z życia mafii



### ANONIM III

Pracownik naukowy pragnący mimo wszystko kontynuować działalność akademicką

**Ryba psuje się od głowy. I „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Poprawa sytuacji Polski prawdopodobnie nie będzie możliwa bez radykalnej reformy świata nauki i wyższej edukacji.**

Znaczna część profesorów w Polsce zachowuje się jak mafiosi. To, że wszystko odbywa się w „białych rękawiczkach”, nie znaczy, iż praktyki stosowane w polskim (pół)światku naukowym różnią się istotnie pod względem mechaniki od mobbingu, pobierania haraczu, wymuszeń i innych form nieetycznych zachowań zwykle kojarzonych ze zorganizowaną przestępczością. To, że przy okazji nie dochodzi poważnie do złamania prawa, nie ma większego znaczenia. Regulacje odnoszące się do rozwoju zawodowego pracowników nauki zostały tak zaprojektowane, żeby takie nieetyczne harce i feudalny system wyzysku usankcjonować.

Jeśli się głębiej zastanowić, to dostrzeżemy, że generuje to ogromne, idące w miliardy złotych straty dla wszystkich Polaków. To ci, którzy wyjechali za granicę, bo kraj się nie rozwija, nie zapłacą składek emerytalnych i podatków; to wszystkie wynalazki i innowacje opatentowane poza Polską lub przez Polskę utracone (niebieski laser, niebawem zapewne grafen). To wreszcie potencjał intelektualny pracujący

na rzecz obcych przemysłów i osiągnięcia naukowców opublikowane za granicą. To stracone miliardy złotych na tym, że państwo nie cieszy się takim prestiżem i wizerunkiem, którym mogłoby się cieszyć, gdyby uwolnić ogromny potencjał polskich naukowców, zwłaszcza młodego pokolenia.

Poniżej prezentuję małą kolekcję takich przypadków. Nie padają nazwiska ani nazwy uczelni. Mogłoby to ściągnąć kłopoty na młodych akademików.

### Granty

Zacznijmy od grantów, od których w zasadniczym stopniu zależy dziś jakość i rodzaj prowadzonych badań. Sposób ich przyznawania w Polsce to świetny przykład mafijno-feudalnej patologii. W jednym z konkursów przepadł wniosek doktora wypromowanego przez znanego profesora, opiewający na wartość bez mała miliona złotych. Profesor ów jednak, jak to ujął świadek, miał pójść i „pogadać z komisją”. Grant został przyznany.

W Narodowym Centrum Nauki spadają seriami projekty dotyczące spraw ważnych dla funkcjonowania Polski, dotyczące np. jej bezpieczeństwa lub otoczenia międzynarodowego. Za to nie ma prostszej metody na uzyskanie dofinansowania do badań naukowych niż wymyślenie tematów związanych z gender, feminizmem, homoseksualizmem, ekologią, globalnym ociepleniem lub prawami zwierząt. Pogłębianie lewackich mitów (np. projekt „Miejsce zwierząt w teoriach ekofeministycznych” lub „Antyगतunkowizm i jego znaczenie w krytyce kultur”) okazuje się ważniejsze niż prowadzenie badań, które sugerowały możliwość wybuchu jednego z najważniejszych aktualnie toczących się konfliktów zbrojnych na świecie. Jeden z wniosków dotyczących bezpieczeństwa Polski został wręcz uznany za... zagrażający racji stanu i z tego powodu odrzucony. Rzeczywistość tymczasem potwierdziła hipotezy badawcze zespołu młodych naukowców.

Zarobki w projektach grantowych rozliczane są przeważnie według stawek ryczałtowych obliczanych na podstawie ilości czasu liczonego w godzinach, dniach lub miesiącach. W związku z tym w wielu instytucjach funkcjonują limity maksymalnych zarobków z tytułu pracy przy projektach grantowych, zależnie od posiadanego stopnia naukowego. Zdarza się, że adiunkci potrafią sobie zorganizować finansowanie z innego źródła niż Narodowe Centrum Nauki (np. fundusze europejskie), z korzystnymi warunkami płacowymi, a potem nie mogą z nich skorzystać, bo... to przecież nie wypada, żeby doktor zarabiał lepiej od profesora. Były przypadki, w których placówka naukowa nakładała dodatkowe obowiązki na własnych pracowników, dla zwiększenia liczby jednostek czasu, żeby „jakoś to wyglądało”.

Inne z kolei przenosiły do środków z grantu część bądź całość podstawowej pensji pracownika. W niektórych przypadkach młodzi naukowcy musieli się żegnać z pracą i iść ze swoim grantem do innej instytucji.

**Kryteria dotyczące dorobku naukowego są w większości przypadków tak dobrane, że tylko starzy profesorowie w wieku emerytalnym lub przedemerytalnym są w stanie aplikować o największe i przynoszące największe profity granty**

Jednak tak naprawdę to sytuacje rzadkie. Nie, nie dlatego, że przeważnie granty przydzielane są prawidłowo. Kryteria dotyczące dorobku naukowego są w większości przypadków tak dobrane, że tylko starzy profesorowie w wieku emerytalnym lub przedemerytalnym są w stanie aplikować o największe i przynoszące największe profity granty.

### **Habilitacje**

Podstawowym narzędziem dyscyplinowania środowiska akademickiego w Polsce nadal jest habilitacja. Samodzielny pracownik naukowy (doktor habilitowany) nie ma przed sobą już praktycznie żadnych wymogów. Może (ale nie musi) zostać profesorem zwyczajnym, to o niego zabiega pracodawca, a nie odwrotnie. We wszelkich minimach kadrowych jest on bowiem

znacznie wyżej „wyceniany” niż młodszy pracownicy nauki. Z nielicznymi wyjątkami prowadzi to do skrajnie nierównego rozkładania wszelkich obowiązków na uczelniach, w tym przede wszystkim dydaktycznych i promotorów. Adiunkci (doktorzy) często mają po 15–20 prac licencjackich i magisterskich w promocji (niekiedy więcej) oraz wiele innych obowiązków dydaktycznych i administracyjnych. Profesorowie przeważnie zajmują się co najwyżej kilkoma promocjami i nie mają żadnych obciążeń biurokratycznych. Adiunkta nikt nie pyta o to, czy jest kompetentny, aby daną pracę promować, musi się ewentualnie douczyć. Profesor zajmujący się filozofią XIX w. może uznać, że licencjatu o filozofie XX-wiecznym nie przyjmie, bo to nie jego specjalność, i zostanie to uznane za ważny argument.

Wymóg habilitacji daje bogate możliwości nacisku. Rada naukowa instytucji może nie otworzyć przewodu habilitantowi, nawet jeśli jest dla niego placówką macierzystą, motywując to zbyt słabym dorobkiem naukowym. Zdarza się to wielokrotnie, stąd częste były przypadki habilitowania się wrocławian w Gdańsku, gdańszczan w Warszawie, warszawian w Poznaniu itp. Nierzadkie były i są także ucieczki za granicę i habilitowanie się w państwach, z którymi Polska ma umowy o uznawalności wykształcenia (np. Czechy, Słowacja, Ukraina).

Działo to także w drugą stronę. Młody naukowiec z grupy bmw (osławione „bierny, mierny, ale wierny”), z niewielkim dorobkiem, ma znacznie większe szanse na sukces. Podobnie bywa z profesurą. Szczytem wszystkiego było nadanie stopnia profesora zwyczajnego prezydentowi dużego miasta w Polsce, podczas gdy jego

dorobek pohabilitacyjny nie wystarczyłby do uzyskania doktoratu, bo nie obejmował monografii i składał się tylko z kilku artykułów bez większego znaczenia naukowego.

Do sekowania niewygodnych kandydatów świetnie nadają się kryteria formalne, np. ocena osiągnięć dydaktycznych. W praktyce konieczne są zaświadczenia z uczelni albo nagrody za działalność dydaktyczną. Znane są przypadki, gdy macierzysta komórka odmawia własnemu habilitantowi wydania takiego dokumentu, powołując się na regulamin, z którego wynika, że mogą go uzyskać tylko... samodzielni pracownicy nauki. Czyli już habilitowani. Niepokornego niekiedy przenosi się na gorzej płatne stanowisko bądź bardziej docięża pracą. W ostateczności, mimo że pracownik uzyskał habilitację, nadal zatrudnia się go na stanowisku adiunkta.

### Inaczej niż w telewizji

Jak zatem widać, świat naukowy od wewnątrz prezentuje się inaczej niż w telewizji. Środowisko nobliwych i poważanych profesorów jest pełne nieetycznych, zgoła mafijnych zachowań i w wielu przypadkach prowadzi do daleko idącej demoralizacji. Potem osoby takie kształtują postawy i wartości młodszych pokoleń, zarówno w świecie nauki, jak i poza nim, niejednokrotnie wypowiadając się o ważnych sprawach kraju z pozycji autorytetu.

Niestety ryba psuje się od głowy. I „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Poprawa sytuacji Polski prawdopodobnie nie będzie możliwa bez radykalnej reformy świata nauki i wyższej edukacji.

# PO, PiS i rozkład systemu

Z prof. Antonim Dudkiem rozmawia Michał Kuź



## ANTONI DUDEK

Profesor politologii,  
wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego

**Wchodzimy w epokę kilkuletniej destabilizacji, z której wyłoni się nowa scena polityczna Polski.**

### ***Co się tak naprawdę zmieniło w polskiej polityce po odejściu Donalda Tuska?***

Z PO na pewno została wyciągnięta istotna część fundamentu, na którym się ta partia opierała. Wielu obserwatorów wskazywało, że Tusk był najmocniejszym aktywem PO, do pewnego stopnia dzieliłam ten sąd. Myślę np., że w 2011 r., gdyby nie jego akcja z Tuskobusem, Platforma prawdopodobnie przegrałaby wybory. W przyszłym roku Tuskobusa już nie będzie. Jak duże partia będzie miała w związku z tym kłopoty, pokażą najbliższe miesiące. Unikałbym jednak kategorycznego stwierdzenia, że bez Tuska PO jest już na pewno bankrutem. Ponad 20-procentowe poparcie dla Platformy daje jej spore szanse na trwanie, a nawet więcej. Jeśli bowiem spojrzeć na sprawę szerzej, nie tylko personalnie, to należy odnotować, że mamy do czynienia z formacją, która rządzi Polską rekordowo długo, bo już od siedmiu lat, i do tego rządzi niemal samodzielnie, bo PSL zostało zmarginalizowane. To więc ugrupowanie niezwykle mocno zakorze-

nione w aparacie państwowym. Ogromna skala tego zrośnięcia zapewne dopiero się ujawni. Trzeba sobie też zdawać sprawę z tego, że PO swoją pozycję zawdzięcza w dużym stopniu sposobowi finansowania partii politycznych.

### ***Czy o sile Platformy decyduje tylko jej finansowanie i sprawność aparatu, czy też pewne realne społeczne interesy, obawy i fobie. Czy za PO stoi swego rodzaju „koalicja strachu”?***

Oczywiście hojne finansowanie z budżetu daje PO środki na utrzymanie aparatu, natomiast nie daje poparcia. To jednak nie strach przed PiS jest decydujący, tylko to, że PO udało się zagospodarować elektorat centrowy. Głosują na nią ludzie zadowoleni zarówno ze swojej sytuacji osobistej, jak i stanu państwa, unikający wszelkich radykalizmów, chcący spokoju. Słowem, ludzie, którym odpowiada filozofia ciepłej wody w kranie. Do nich dopiero jako druga grupa dochodzą ci, którzy może i chcieliby jakichś głębszych zmian,

ale na pewno nie w wydaniu PiS, bo to ugrupowanie jest dla nich negatywnym punktem odniesienia. PO stanowi zaś wciąż główną zaporę przeciwko powrotowi Prawa i Sprawiedliwości do władzy. Nie widzą też żadnej innej porównywalnej siły ani w SLD, ani tym bardziej w Pali-kocie. PSL obecnie jest zaś tylko przybudówką PO, więc nie mają alternatywy.

***No tak, ale PO trudno przebić, jeśli chodzi o retorykę „cieplej wody”. Natomiast jak mówi Rafał Matyja, problemem PiS jest to, że odeszło ono od postulatów odpowiedzialnej reformy państwa z lat 2003–2005 i obecnie jego „polityczną identyfikacją jest walka z establishmentem, a nie zamiar instytucjonalnego wzmocnienia państwa”.***

Zgadzam się z Matyją. PiS kojarzy się głównie z rozliczeniami. Kiedy ktoś mówi, że głosuje na PiS, to często czyni tak ze złości na owych „złodziei i nieudaczników”. Natomiast trudno jest wskazać pozytywny program PiS poza jakimiś bardzo ogólnikowymi koncepcjami. W oczach wielu jego zwolenników sprowadzają się one do opinii, że jak „przyjdzie PiS, to zamknie złodziei i zdrajców, a potem będzie na pewno dobrze”. Otóż centrowy wyborca śmie wątpić w to, że faktycznie będzie wówczas lepiej, woli już ciepłą wodę w kranie w wydaniu Platformy. Choć zobaczymy, na ile Ewa Kopacz będzie w stanie ten mit podtrzymywać. To bowiem mit oczywisty. Tusk miał wyjątkowe szczęście, bo pomimo kryzysu ekonomicznego w Europie Polska była zasilana unijną kropłówką i pieniędzmi przysyłanymi przez 2 mln emigrantów. To się jednak stopniowo wyczerpuje, dają zaś o sobie znać rozmaite zaniechania i zastępowanie prawdziwej polityki doraźnym łataniem dziur.

Klasycznym przykładem była tutaj tzw. reforma OFE. Kiedy zabrakło pomysłu na znalezienie pieniędzy w inny sposób oraz odwagi, by dokonać oszczędności, nacjonalizowano po prostu fundusze emerytalne i przedstawiano to jako rzekomy sukces. W rzeczywistości mamy zaś do czynienia z kolejną gigantyczną pożyczką wewnętrzną poprzez przerzucenie kosztów na już i tak przeciążony ZUS.

**Bardzo ważne będą najbliższe wybory prezydenckie, ale nie ze względu na to, kto je wygra, bo prezydent Komorowski reelekcję właściwie ma już w kieszeni, ale ze względu na to, kto zajmie drugie, a nawet trzecie miejsce**

***Jeśli chodzi o OFE, to są tacy, którzy akurat za to PO chwalą. To samo zrobiono np. na Węgrzech, a to z tej prostej przyczyny, że inwestycje OFE bardziej niż emerytom służyły instytucjom finansowym.***

Ja mam na ten temat inne zdanie. Oczywiście w ustawie o OFE został przez rząd Buzka popełniony istotny błąd, a mianowicie pozwolono im zbyt łatwo zarabiać poprzez naliczanie wysokich marż, nawet jeśli miały słabe wyniki. Metodą naprawy tego błędu powinna być jednak regulacja, a nie faktyczna nacjonalizacja funduszy emerytalnych. Generalnie nie podzielał

też pomysłów Orbána na gospodarkę ani nie uważam, że liberalna gospodarka się skończyła. Oczywiście można powiedzieć, że trafne były niektóre z jego decyzji dotyczące ograniczenia niesprawiedliwych przywilejów dla kapitału zagranicznego. Nie jest natomiast trafne doprowadzenie do sytuacji, w której państwo przejmuje więcej zobowiązań, niż musi. Z uwagi na katastrofę demograficzną w Polsce i tak nie unikniemy w przyszłości zwiększenia obciążeń budżetowych na rzecz rosnącej rzeszy emerytów. Ale właśnie dlatego nasze państwo nie powinno brać na siebie wszystkiego, a tak będzie po ostatecznej likwidacji OFE, co nastąpi w ciągu dwóch, trzech lat.

***Wróćmy do polskiej sceny politycznej. Mamy oto dryfujący rząd i zagubioną opozycję. A to już zwiastuje znacznie szerszy kryzys. Czy winna jest jakaś głębsza systemowa niewydolność polskiej polityki? Gdzie popełniono błąd i jak go można naprawić?***

Rozkład systemu będzie postępował bez względu na to, czy w najbliższych wyborach parlamentarnych będziemy mieli do czynienia z koalicją kordonową wszystkich przeciwko PiS, czy też z PiS samodzielnie rządzącym. Koalicja kordonowa będzie słabsza od tej dzisiejszej i raczej nie przetrwa czterech lat, z kolei rząd PiS przy obecnym prezydencie będzie zablokowany jego wetem wobec wszystkich istotniejszych ustaw. Grzechem pierworodnym jest tutaj nasza dwugłowa egzekutywa. Dziś bowiem w Polsce nie wystarczy wygrać wyborów do Sejmu i mieć większość w parlamencie. Aby efektywnie rządzić, trzeba jeszcze mieć urząd prezydenta. Głowa państwa może dość swobodnie działania rządu blokować i to już zresztą

przerabialiśmy za czasów rządów premiera Buzka i prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego. Tu oczywiście kłania się zmiana konstytucji, która miałaby na celu ruch albo w stronę systemu kanclerskiego z pierwszym obywatelem odgrywającym rolę jedynie reprezentacyjną, albo odwrotnie: w kierunku systemu prezydenckiego. Nie przesądzam, który system jest lepszy, każdy natomiast wydaje się korzystniejszy od tego, jaki mamy teraz.

Drugim powodem rozkładu systemu jest wadliwa ordynacja wyborcza do parlamentu oraz sposób finansowania partii. Jestem zwolennikiem dotacji dla ugrupowań z budżetu, ale nie tych działających obecnie. Większość środków, jakie formacje otrzymują, idzie bowiem na propagandę wyborczą, a nie na przygotowanie do przejęcia władzy. PiS jest tutaj wyrazistym przykładem tego, jak pieniądze podatników są marnowane. Partia Jarosława Kaczyńskiego do ponownego przejęcia rządów przygotowuje się jednak od lat siedmiu, no i niech mi pan powie, kto będzie w rządzie PiS szefem MSW i co dokładnie zamierza zrobić, a kto będzie kierował MSZ i w jakim kierunku, a kto będzie ministrem gospodarki i jakich dokładnie zmian zamierza dokonać? Nic nie wiemy. Nie ma gabinetu cieni. Wszystko zdaje się zależeć od woli prezesa i układu frakcji.

Zresztą PiS wcale nie musi rządzić. Gdybym miał dziś obstawiać wyniki wyborów, to oceniam, że przy swojej dotychczasowej taktyce to ugrupowanie może mieć maksimum 200 posłów. To zresztą będzie kolejną z przyczyn destabilizacji polskiej polityki. Po raz pierwszy w naszej historii może bowiem dojść do sytuacji, w której partia, która wygra wybory, nie będzie w rządzie. PSL, typowane przez niektórych jako koalicjant PiS,



będzie się bowiem obawiał konsekwencji ewentualnego mariażu. Jest bardzo mało prawdopodobne, aby formacja zawodowych polityków tak głęboko zakorzenionych w aparacie państwowym jak PSL zdecydowała się na związek z radykalnie antyestablishmentowym koalicjantem.

***Być może właśnie miłość do władzy i stanowisk skusi w końcu Waldemara Pawlaka?***

Nie, Pawlak nie zgadza się z Piechocińskim prawie w niczym z wyjątkiem jednego: koalicja z PiS jest niemożliwa. Przecież w czasach, kiedy z koalicji z PiS został wyrzucony po raz pierwszy Andrzej Lepper, bracia Kaczyńscy zrobili to tylko dlatego, że wierzyli, iż na jego miejsce wejdzie Pawlak właśnie. Efekt był taki, że po trzech tygodniach trzeba było Leppera znowu w nocy robić wicepremierem. Jedynym potencjalnym koalicjantem PiS jest dziś Kongres Nowej Prawicy, ale nie sądzę, aby taki sojusz był trwały. Najpierw zresztą KNP musi przekroczyć próg wyborczy, co wcale nie jest przesądzone. Do PiS mogliby też ewentualnie dołączyć różni posłowie uciekinierowie z innych partii, ale szanse na to nie są duże. Przypomnijmy tu słynne kuszenie posłanki Beger, które nie udało się w czasach, gdy i prezydent, i premier byli z PiS. Inna sprawa, że rząd kordonowy także będzie nietrwały. Jednym zdaniem: wchodzimy w epokę kilkuletniej destabilizacji, z której wyłoni się nowa scena polityczna Polski.

***Czyli mamy przed sobą perspektywę kolejnych dryfujących rządów. Czy nie ma od tej perspektywy ucieczki? Czyżby jedynym rozwiązaniem była jakaś oddolna rewolucja?***

Rewolucja raczej nie wchodzi w grę, bo większość Polaków jej nie chce. Radykalne zmiany oczywiście zapowiada PiS, ale w jego kierownictwie nie widzę ludzi zdolnych do ich przeprowadzenia. Warto przypomnieć, że jedynym konkretem instytucjonalnym, jaki PiS przeprowadziło, gdy miało władzę w latach 2005–2007, była likwidacja WSI i powołanie CBA. To były dobre zmiany, ale czy reformy służb specjalnych, nawet najgłębsze, mają wpływ na życie większości Polaków?

Znacznie ważniejsze są np. samorządy, w których postępuje proces degeneracji. Za chwilę odbędą się do nich wybory. Wielu prezydentów miast będzie w ich wyniku rządzić czwartą, a nawet piątą kadencję z rządu – czyli przez szesnaście albo dwadzieścia lat. To oczywiście sytuacja patologiczna. Czy PiS jasno mówi, że to zmieni? Trzeba tu wprowadzić kadencyjność. Ale na razie żadna z głównych partii nie potrafiła z co najmniej z rocznym wyprzedzeniem zacząć kampanii, by rzucić realne wyzwania np. Majchrowskiemu w Krakowie, Grobelnemu w Poznaniu czy też Ferencowi w Rzeszowie.

***Tylko że ludzie nie znoszą partii politycznych. Wolą już wiecznych prezydentów.***

Przecież nie trzeba koniecznie wystawiać posłów czy nawet zawodowych polityków. Trzeba tylko znaleźć kompetentnego człowieka i z użyciem środków danego ugrupowania rozpocząć kampanię z odpowiednim wyprzedzeniem. Tymczasem PiS w Krakowie wybiera sobie kandydata z łapanki, i to dwa miesiące przed wyborami. W efekcie biedny Marek Lasota zostanie najpewniej zgnieciony przez polityczną maszynę Jacka Majchrowskiego. Nie moż-

na też z góry zakładać, że ludzie nie chcą partyjnych kandydatów. Wystarczy przecież spojrzeć na Gdańsk czy Warszawę, w której wiceprzewodnicząca Platformy Obywatelskiej jest na dobrej drodze do tego, by zwyciężyć już w pierwszej turze. Ludzie na pewno są zaś zmęczeni aktualnymi gospodarzami miast. Dowodzą tego liczne, coraz częściej kompromitujące ich referenda. Cóż jednak z tego, skoro nawet dla nielubianych samorządowców miejskich brak dziś realnej alternatywy, i to zwłaszcza ze strony opozycji. Trzeba sobie powiedzieć twardo: PiS jest źle zarządzaną partią i będzie za to karane.

Podobnie jak z wyborami samorządowymi ma się bowiem sprawa z wyborem prezydenta całego kraju. PiS wciąż nie ma kandydata. A potrzebuje kogoś, który zająłby mocne drugie miejsce i przegrał z niezwykle popularnym Komorowskim dopiero w drugiej turze. Jeszcze rok temu dobrze dobrany kandydat PiS być może mógłby nawet nawiązać realną walkę. Dziś jest już na to za późno. Prof. Gliński był dobrym pomysłem, ale tylko na jeden raz. Po tym, jak nie udało się zrobić z niego premiera technicznego, został już zużyty, należało go oddelegować np. do europarlamentu i znaleźć jakiegoś nowego Glińskiego, by odpowiednio wcześniej zacząć walkę o Belweder. Teraz zaś może dojść do tego, że PiS nie tylko przegra wybory prezydenckie, ale i nie będzie w stanie uzyskać w nich drugiego miejsca dla swego kandydata.

***Z czasem jednak jakieś zmiany zajść muszą. Z czym wiąże więc pan większe nadzieje: z powstaniem nowych ruchów politycznych, czy też z powolną zmianą pokoleniową wewnątrz istniejących formacji?***

Trudne pytanie. Dobrze byłoby zobaczyć nowe ugrupowania. To jednak byłoby możliwe, tylko gdyby obniżyć próg finansowania partii politycznych z budżetu, tak aby dostawały je już te mające choćby jeden procent poparcia. Wtedy takie ugrupowania jak PR, SP czy wcześniej PjN miałyby szansę przetrwania i poszerzenia poparcia. Ponieważ jednak na razie nie widać chętnych do ich szerszego wspierania, to stawiam raczej na zmiany pokoleniowe w istniejących formacjach. Na to jednak trzeba będzie poczekać. To kryzys rodzi nowe przywództwo, a w żadnej większej partii poza PO na razie kryzysu nie ma.

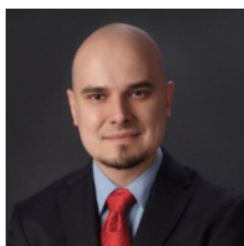
Bardzo ważne będą w tym kontekście wybory prezydenckie, ale nie względu na to, kto je wygra, bo prezydent Komorowski reelekcję właściwie ma już w kieszeni, ale ze względu na to, kto zajmie drugie, a nawet trzecie miejsce. To właśnie wybory prezydenckie często dawały impuls do powstawania nowych ruchów politycznych czy też pewnych ważnych przetasowań w ruchach już istniejących. Gdyby nie sukces Andrzeja Olechowskiego, pewnie nie byłoby Platformy Obywatelskiej.

Scena polityczna, którą mamy, nie jest nam dana raz na zawsze. Tylko że teraz, przy obecnym systemie finansowania partii, uruchamianie nowego ruchu bez kilkudziesięciu milionów na Kajmanach, tak jak to miało – prawdopodobnie – miejsce w przypadku Palikota, jest szaleństwem. A nawet i to nie gwarantuje sukcesu, co pokazują losy Twojego Ruchu.

***Skoro „kryzys rodzi przywództwo”, to może odejście Tuska PO wręcz wzmocni? Pozwoli partii na nowe otwarcie i wyłonienie nowego silnego przywódcy, którym pewnie nie będzie Ewa Kopacz, ale ktoś nowy?***

Tak może właśnie być. Donald Tusk przy wszystkich swoich atutach sam się bowiem z wolna zużywał. Wielu zdawało sobie sprawę z tego, że pod jego przywództwem dalsza dominacja ugrupowania może być zagrożona. Kopacz wydaje się natomiast faktycznie za słaba. Tworząc rząd, zdecydowała się na karkołomne godzenie starych frakcji, a nie na nowe, mocne otwar-

cie. Jej gabinet będzie więc coraz głośniej trzeszczał w szwach. Schetyna może się zaś zużyć w walce z Kopacz o schedę po Tusku. Skorzysta z tego ktoś trzeci, kto będzie miał dość sprytu i determinacji, by władzę pochwycić. A następnie poprowadzić partię w wybranym przez siebie kierunku. PO może więc paradoksalnie wyjść z tego kryzysu wzmocniona.



### **MICHAŁ KUŹ**

Redaktor „Nowej Konfederacji”

## Ujawnić majątki urzędników!



### PIOTR TRUDNOWSKI

Były redaktor „Rzeczy Wspólnych”

**Marek Biernacki przygotował rewolucję w oświadczeniach majątkowych. Jego odejście z Ministerstwa Sprawiedliwości postawiło ten projekt pod wielkim znakiem zapytania.**

W czasie festiwalu spekulacji na temat składu rządu Ewy Kopacz nikogo w mediach głównego nurtu nie interesowało to, że na rok przed wyborami przetasowania w resortach będą mieć istotne merytoryczne konsekwencje. Nieważnie Marka Biernackiego do nowego gabinetu nawet przez sympatyzujących z nim prawniczych publicystów skwitowane zostało jako kolejny znak dryfowania Platformy Obywatelskiej w lewo. Tymczasem znacznie istotniejsze jest co innego: dalsze losy przygotowanej przez poprzedniego ministra sprawiedliwości ustawy rewolucjonizującej kwestię oświadczeń majątkowych. Projekt znalazł się na celowniku zagrożonych nim grup interesów. Czy brak Biernackiego w rządzie skaże jego polityczny testament na pożarcie przez te lobby?

To pewnie najpoważniejsze rozczarowanie dawnych zwolenników PO, że zamiast likwidować przywileje w sektorze publicznym, obniżyć podatki i zmniejszać zatrudnienie w urzędach, siedem lat rządów Tuska przyniosło jeszcze więcej re-

gulacji, więcej danin, więcej urzędników. Jak na ironię z chwilą wyjazdu wieloletniego premiera do Brukseli pod znakiem zapytania stają losy jednej z nielicznych reform, która akurat przywileje urzędników miała ograniczać, zwiększając kontrolę obywateli nad funkcjonariuszami publicznymi. Mowa o Ustawie o oświadczeniach o stanie majątkowym osób pełniących funkcje publiczne.

### Milion jawnych oświadczeń

Projekt Biernackiego jest radykalny. Po pierwsze, to kompleksowe i systemowe uregulowanie obowiązków składania oświadczeń przez osoby pełniące funkcje publiczne, dziś wynikających z 30 rozproszonych aktów prawnych. Po drugie, projekt zakłada znaczące rozszerzenie katalogu funkcjonariuszy zobowiązanych do składania oświadczeń majątkowych. Zwiększa ich liczbę z ok. 500 tys. do ok. 900 tys. osób. Po trzecie, oświadczenia majątkowe miałyby też być w pełni jawne. Każdy obywatel miałby możliwość zapo-

znania się z nimi (poza oświadczeniami funkcjonariuszy służb specjalnych i niektórych służb mundurowych) w Biuletynie Informacji Publicznej. Dotychczas było tu tak wiele wyjątków i wyłączeń, że nawet znawcom tematu trudno się było w tym połapać. Po czwarte, wypełniane dziś ręcznie oświadczenia zastąpione zostaną oświadczeniami elektronicznymi, dzięki czemu docelowo nieporównywalnie prostsze będzie analizowanie i porównywanie ich treści.

**Słuchając przeciwników ujawnienia majątków urzędników, trudno uniknąć skojarzeń z popisami retorycznymi przeciwników ujawnienia współpracy z komunistyczną bezpieką**

Dotychczas obowiązkiem składania oświadczeń majątkowych objęci byli m.in. politycy, najwyżsi rangą urzędnicy, sędziowie, prokuratorzy. Nowa ustawa rozszerza ten katalog m.in. o członków zarządów i głównych księgowych spółek skarbu państwa i ich spółek córek, asystentów sędziów, notariuszy, pracowników urzędów zarabiających minimum średnią krajową, inspektorów sanitarnych, inspektorów pracy, celników, policjantów, egzaminatorów prawa jazdy, rektorów uczelni publicznych, członków komisji lekarskich ZUS i KRUS. Co wywołuje szczególnie opór większości zainteresowanych środowisk, powszechna jawność oświadczeń obejmie również tych, którzy dotychczas mieli obowiązek składania

oświadczeń, ale bez ich publikacji: sędziów, prokuratorów, najwyższych rangą urzędników, takich jak prezes NBP czy prezes NIK. Także... prezydenta Polski.

Powyższa lista sama w sobie dobrze wyjaśnia istotę reformy: tam, gdzie mamy do czynienia z uprawnieniami tworzącymi przestrzeń do korupcji, tam potrzebna jest jawność.

**Opór grup interesu**

Choć projekt znany jest od niedawna (do wykazu prac legislacyjnych Rady Ministrów trafił w maju br.), to już zdołał napotkać falę krytyki: głównie ze strony samych zainteresowanych. Tylko w ramach uzgodnień międzyresortowych pojawiły się wyrażane przez przedstawicieli kolejnych ministerstw oskarżenia m.in. o „tani populizm”, zapędy do inwigilacji, łamanie praw człowieka i konstytucji (z uwagami zgłoszonymi w ramach konsultacji, uzgodnień i opiniowania zapoznać się można na [stronach Rządowego Centrum Legislacji](#)). Negatywne opinie na temat projektu opublikowały Kancelaria Prezesa Rady Ministrów, Rządowe Centrum Legislacji i Rada Legislacyjna przy Premierze. Najbardziej bodaj kuriozalne uwagi sformułował wiceminister skarbu państwa Zdzisław Gawlik, który w postulacie jawności oświadczeń majątkowych dostrzegł, że minister sprawiedliwości „stara się schlebiać najniższym, z gruntu populistycznym oczekiwaniom. W praktyce otwiera pole do lustracji, oznaczającej zalew donosów i insynuacji, w której prym zapewne wieść będą zawistni sąsiedzi, pokrzywdzeni obywatele, brukowce i jedyni sprawiedliwi”. Czytając te słowa, trudno uniknąć skojarzeń z popisami retorycznymi przeciwników ujawnienia współpracy z komunistyczną bezpieką.

Przeciwko jawności oświadczeń opowiedziały się niemal jednogłośnie organizacje zrzeszające przedstawicieli kolejnych grup interesów, m.in.: Stowarzyszenie Sędziów Polskich „Iustitia”, Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Konferencja Rektorów Polskich Uczelni Technicznych, Stowarzyszenie Inspektorów Pracy, Ogólnopolskie Stowarzyszenie Referendarzy Sądowych, NSZZ „Solidarność”. W opiniach kolejnych organizacji pojawia się dość typowa linia argumentacji, analogiczna choćby do uwag zgłaszanych w czasie prac nad otwarciem dostępu do zawodów regulowanych: założenia projektu uznać należy za słuszne, jednak... specyfika konkretnego zawodu czy instytucji każe wyłączyć z katalogu podmiotów objętych ustawą np. rektorów czy pracowników ZUS.

### **Sztuka dezinformacji, czyli atak zegarkiem Nowaka**

Nie może dziwić, że tak powszechnemu „oficjalnemu” oporowi grup interesów wobec projektowanych zmian towarzyszyć muszą bardziej wyrachowane próby zablokowania ustawy. Najbardziej kuriozalny atak rozpoczął „Dziennik Gazeta Prawna” publikacją z 27 sierpnia „Nie będzie kary za zegarek ministra”. Na okładce prestiżowego branżowego dziennika mogliśmy przeczytać: „Czy były minister transportu Sławomir Nowak uniknie kary za złożenie nieprawdziwych informacji o stanie swojego majątku? Wszystko wskazuje na to, że tak. Pomóc mu może projektowana ustawa o oświadczeniach majątkowych, jeśli wejdzie w życie w kształcie proponowanym przez resort Marka Biernackiego. Zgodnie z nią nie będzie stanowiło przestępstwa niewpisanie do deklaracji

przedmiotów o wartości do 20 tys. zł. Dziś ten próg ustalony jest na 10 tys. zł. A biegli wycenili zegarek ministra Nowaka na między 11 a 15 tys. zł”. Gazeta powoływała się na licznych, w większości anonimowych, rozmówców, którzy przekonywali, że wejście w życie nowej ustawy oznaczać będzie uwolnienie byłego ministra transportu od odpowiedzialności.

Zarzuty mogłyby brzmieć poważnie, gdyby nie to, że w projekcie od początku obecny był artykuł 53, który wprost stanowił, iż „do oświadczeń majątkowych, których obowiązek złożenia powstał przed dniem wejścia w życie niniejszej ustawy, stosuje się przepisy dotychczasowe”.

Dla autorów medialnego ataku okazało się to nieistotne. Nieważne było też to, że już wcześniej kasus Nowaka pojawiał się w ramach debaty nad ustawą jako argument na rzecz poszerzenia jawności, a podnoszony był... po stronie samego projektodawcy! Na łamach wydawanego przez Ministerstwo Sprawiedliwości pisma „Na wokandzie” już w maju mogliśmy przeczytać: „Niezgoda tego, co były minister Sławomir Nowak miał na przegubie, z tym, co wpisał do swego jawnego oświadczenia, zaowocowała aktem oskarżenia i zakończyła, jak się wydaje, jego błyskotliwą karierę w tzw. służbie publicznej. Gdyby – tak jak w przypadku sędziów – wgląd w oświadczenie Sławomira Nowaka miał tylko jego zwierzchnik lub Urząd Skarbowy, oczywiście włos by mu z głowy nie spadł. Straszak, jakim jest możliwość skonfrontowania oświadczeń z różnych lat i publicznego postawienia pytania o przyczyny ewentualnego nagłego wzbogacenia się, może więc być czynnikiem ograniczającym pokusy władzy”.

Niestety dziennikarze większości redakcji ochoczo przekejlali skandalizujące

fragmenty tekstu z „DGP” i nie zadawali sobie trudu, by zapoznać się nie tylko z kluczowym w tym kontekście artykułem 53, lecz także z meritem projektu. Szkoda, bo projekt Biernackiego poszerzałby akurat pole popisu dla mediów jako kontrolerów władzy.

### **Komu (nie) zależy na reformie**

W kontekście sprawy Nowaka i afery taśmowej przeprowadzenie projektu pozwoliłoby PO na wykazanie pewnej zdolności do autorefleksji. Dalszy los ustawy zależy dziś coraz mniej od determinacji odsuniętego Biernackiego, bardziej od woli i planów jego następcy Cezarego Grabarczyka i nowej premier. Jednak również od aktywności opozycji, mediów, strony społecznej. Ataki zorganizowanych grup interesu wymagają przeciwwagi. Niestety tej jak na razie nie widać.

Na poziomie publicystycznej diagnozy wszyscy zgadzają się, że rozrost biurokracji jest problemem. Reforma oświadczeń majątkowych mogłaby być choćby częściowym remedium. Brakuje jednak reformatorskich grup interesów gotowych je wspierać. Dotyczy to także Prawa i Sprawiedliwości. I można przypuszczać, że to ostatnie się nie zmieni. Wszak działacze największej partii opozycyjnej są dziś przekonani, że za rok przejmą pełnię władzy: wraz z setkami tysięcy urzędniczych etatów. Po co poddawać te „konfitury” rygorom nowej ustawy?

Chociaż reforma potencjalnie poszerza możliwości działania organizacji pozarządowych, to na horyzoncie brakuje takich, które w interesie wspólnym zaangażowałyby się w pilnowanie projektu. W konsultacjach społecznych, obok organizacji zrzeszających objętych projektem

ustawy, głos zabrało tylko kilka NGO-sów zajmujących się interesem publicznym, a i one – poza Fundacją Batorego i Stowarzyszeniem 61 – podały w wątpliwość powszechną jawność oświadczeń (Fundacja Panoptykon, Instytut Spraw Publicznych).

### **Subkultura budżetówki czy etos służby publicznej?**

Poza wymiarem kontrolnym i antykorupcyjnym omawiana reforma ma niebagatelne znaczenie kulturowe. Przypomnijmy, że polski sektor publiczny jest bezprecedensowo przerośnięty: zatrudniony jest w nim niemal co czwarty pracujący (3,5 mln etatów w sektorze publicznym to 24 proc. wszystkich zatrudnionych). Nie przekłada się to jednak na jakość usług publicznych, jak np. w Skandynawii. Generuje natomiast kosztmarne marnotrawstwo i korupcję.

By to zmienić, konieczna jest nie tylko polityczna gotowość do politycznych reform, lecz również zmiana mentalności Polaków. Według przeprowadzonych na zlecenie Akademii Koźmińskiego badań „Postawy ekonomiczne w czasach niepewności” jedynie co piąty z badanych chciałby szukać zatrudnienia w sektorze prywatnym, aż 61 proc. zaś wskazuje właśnie na sektor publiczny jako miejsce wymarzonej pracy. Trudno z optymizmem patrzeć w przyszłość, gdy najwygodniejszym miejscem zatrudnienia większości społeczeństwa jawią się skorumpowane i niewydajne biurokratyczne molochy. Choć jest to w pewien sposób zrozumiałe: praca w sektorze publicznym kojarzy się zapewne przeciętnemu Polakowi z dobrymi zarobkami i wygodą, bez większych obowiązków.

Tymczasem reforma oświadczeń majątkowych może wnieść wkład w budowę etosu służby publicznej. Przypominając urzędnikom i innym pracownikom sektora o potrzebie pokory i samoograniczenia.

W ramach konsultacji do rzonego projektu prezes ZUS podnosił, że wejście w życie reformy „może spowodować odej-

ście z pracy wykwalifikowanych i cennych merytorycznie pracowników zatrudnionych obecnie w podmiotach publicznych”. A wydawać by się mogło, że obowiązek ujawniania majątku nie powinien przecież budzić oporów uczciwych funkcjonariuszy publicznych...



## Prawdziwi twórcy Państwa Islamskiego



### ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Redaktor „Nowej Konfederacji”,  
publicystka wPolityce.pl

**Krwawa jatka, która rozgrywa się obecnie w Iraku, jest dziełem pięciu głównych aktorów: to oprócz Stanów Zjednoczonych Izrael, kraje Zatoki Perskiej, Iran i Turcja.**

Saddam Husajn uzasadniał swoje dyktatorskie rządy tym, że tylko siłą można stworzyć w kraju podzielonym na sunnitów, szyitów i Kurdów nowoczesne, świeckie i przede wszystkim zjednoczone państwo narodowe. Obecna krwawa ofensywa dżihadystów Państwa Islamskiego (IS) zdaje się przyznawać mu rację. W rzeczywistości jednak seria strategicznych błędów i egoistycznych lub naiwnych zagrywek zewnętrznych aktorów zmarnowała szansę, którą Irak otrzymał po drugiej wojnie w Zatoce Perskiej w 2003 r. Zadeklarowanym celem amerykańskiej interwencji zbrojnej było obalenie zbrodniczej dyktatury Husajna i zapewnienie ponad 30 mln Irakijczyków dobrodziejstw demokracji w zachodnim wydaniu. Zamiast tego doprowadziła do krwawego odwetu sunnitów, którzy dzięki niej utracili władzę.

Irak się rozpada i stanowi poważne zagrożenie dla stabilności całego regionu. Co poszło więc nie tak? Odpowiedź jest prosta: wszystko. I winnych nie należy szukać wyłącznie w Waszyngtonie. Krwawa jatka, która rozgrywa się obecnie w Iraku,

jest dziełem pięciu głównych aktorów: oprócz Stanów Zjednoczonych, Izraela, krajów Zatoki Perskiej, Iranu i Turcji.

### Długa droga do stabilizacji

Można argumentować, że u podstaw obecnego kryzysu w Iraku leży „grzech pierworodny” Imperium Brytyjskiego. Podbijając na początku XX w. arabski Bliski Wschód, Brytyjczycy stworzyli sztuczne państwa – m.in. Jordanię, Bahrajn, Irak i Kuwejt – nie bacząc na etniczne, religijne i plemienne podziały. Obecne państwo irackie powstało w 1932 r. na terenach brytyjskiego mandatu Ligi Narodów jako monarchia rządzona przez sunnicką dynastię Haszymidów. Wojskowy zamach stanu z 1958 r. obalił monarchię na rzecz rewolucyjnego rządu płk. Abd al-Karima Kasima, który zerwał sojusz z Zachodem i związał się ze Związkiem Sowieckim. W tym czasie na terenie Iraku i Syrii znacznie wzrosło znaczenie lewicowo-narodowej zdominowanej przez sunnitów partii Baas, która dążyła do zjednoczenia

wszystkich krajów arabskich i sympatyzowała z „panarabską” polityką egipskiego prezydenta Gamala Abdela Nassera (w 1958 doszło z inicjatywy Nassera do krótkotrwałej unii Syrii i Egiptu pod nazwą Zjednoczona Republika Arabska). W 1963 r. ugrupowanie przejęło stery rządów w Syrii. W tym samym roku iracki odłam partii Baas z pomocą CIA dokonał zamachu stanu przeciw rządowi Kasima i ostatecznie przejął władzę pięć lat później. W 1979 r. prezydentem i de facto dyktatorem Iraku został Saddam Husajn.

Nastąpiła długa faza stabilizacji Iraku zarówno pod względem politycznym, jak i gospodarczym. Powstały w miarę silne struktury państwowe. Husajnowi udało się także, dzięki odwołaniu m.in. do dziedzictwa starożytnej Babilonii oraz tępieniu podziałów plemiennych, stworzyć namiastkę tożsamości narodowej. Świeckie, nacjonalistyczne irackie państwo było bez wątpienia okupione krwią tych, którzy byli relegowani w nim do roli statystów – szyickiej większości oraz Kurdów – ale na tle Państwa Islamskiego wydawało się oazą pokoju.

### **Hunwejbńska reaktywacja arabskich socjalistów**

Ten pokój zniszczyła amerykańska inwazja w 2003 r. Stany Zjednoczone obaliły dyktatora i rozbiły struktury irackiego państwa. Partia Baas została brutalnie wyparta z życia politycznego. Tym samym Waszyngton zniszczył hegemonię, którą sunnici cieszyli się przez ponad tysiąc lat. W 2005 r. Amerykanie ustanowili zdominowany przez szyicką większość (szyici stanowią 68 proc. ludności) rząd kierowany przez premiera Nuriego al-Malikiego. Następnie usiłowali zamienić go w rząd jedności narodowej i zintegrować w nim

w latach 2006–2008 także sunnitów. Ale ich starania spełzły na niczym. Sunnici nie mogli się pogodzić z utratą władzy, a szyici zapomnieć o torturach i upokorzeniach, których doświadczyli pod dominacją sunnickiej mniejszości. Irackie wojsko zostało rozwiązane. Usunięto z niego niemal całą kadre oficerską składającą się głównie z dawnych zwolenników Husajna.

**Amerykanie wydali miliardy na programy demokratyzacyjne, ale osiągnęli efekt przeciwny do zamierzonego. Większość dochodów z surowców płynęła prosto do kieszeni szyitów, zwiększając frustrację sunnitów i Kurdów wykluczonych z udziału tortu**

Oczyszczenie życia publicznego z członków partii Baas pozostawiło kilka milionów sfrustrowanych sunnitów bez widoków na przyszłość. Wielu z usuniętych oficerów usiłowało wrócić do szeregów armii. Gdy im odmówiono, przyłączyli się do Państwa Islamskiego. Nie jest też tajemnicą, że najstarsza córka Husajna Raghada, która przebywa na emigracji w Jordanii, gdzie dynastia Haszymidów panuje do dziś, finansuje sunnickich radykałów. Mówi się, że przekazała im ośmiocyfrową sumę, co najmniej 10 mln dol. To dzięki weteranom armii Husajna

zwanym potocznie armią Nakszbandiego (JRTN) Państwo Islamskie dokonało swych największych militarnych zwycięstw, m.in. podboju drugiego co do wielkości miasta Iraku, Mosulu. Armia Nakszbandiego dowodzi były wiceszef rady rewolucyjnej Husajna Izzat Ibrahim al-Duri.

Na frustrację pokonanych nałożyło się zniszczenie irackiej gospodarki oraz infrastruktury. Rozpoczęła się walka o dostęp do zasobów ropy. Korupcja osiągnęła poziom endemiczny. Amerykanie wydali miliardy na programy demokratyzacyjne, ale osiągnęli efekt przeciwny do zamierzonego. Większość dochodów z surowców płynęła prosto do kieszeni szyitów, zwiększając frustrację sunnitów i Kurdów wykluczonych z podziału tortu.

### Błędy Waszyngtonu

Jak wskazuje jednak wielu analityków, pierwszym i zasadniczym błędem administracji George'a Busha, która podjęła decyzję o inwazji Iraku, był brak woli wysłania tam liczby wojsk wystarczającej do zapewnienia porządku. Koncepcja „light footprint” (lekkiego odcisnięcia stopy) polegająca na rezygnacji z szeroko zakrojonych operacji w celu budowania pokoju i ugruntowywania tożsamości narodowej, wdrażana w Pentagonie konsekwentnie od ponad 15 lat, spowodowała, że zamiast – jak domagał się wówczas szef Sztabu Armii USA Eric Shineski – wysłać do Iraku „co najmniej 500 tys. żołnierzy”, Bush wyekspediował tam najwyżej jedną trzecią tej liczby.

Jak twierdzi „Foreign Affairs”, planiści Pentagonu byli przekonani, że Irakijczycy przywitają ich z otwartymi ramionami jako wyzwoliciele i że po roku przekazą władzę irackim politykom wracającym

z wygnania, jak byłemu wicepremierowi Achmedowi Chalabiemu. Kiedy te nadzieje się nie spełniły, a wrogie frakcje zaczęły bezlitośnie zwalczać się nawzajem i rozkradać państwo, Amerykanie wciąż nie chcieli wzmocnić swojej obecności wojskowej. Bez podstawowego poziomu bezpieczeństwa nie ma jednak demokracji. Każdy kraj najpierw musi posiadać w miarę sprawnie działające struktury państwowe, a potem dopiero myśleć o demokratycznych reformach. Amerykanom nie udało się jednak nawet rozbroić sunnickich milicji, które powstały w sprzeczności wobec nowego zdominowanego przez szyitów rządu.

W końcu zapadła decyzja o całkowitym wycofaniu wojsk. Pod koniec 2011 r. Irak opuściła większość amerykańskich żołnierzy. Na miejscu pozostało 15 tys. doradców wojskowych, dyplomatów i najemników. Waszyngton miał nadzieję, że zrzucając odpowiedzialność na al-Malikiemiego, zmusi go do zintegrowania w strukturach władzy sunnitów i Kurdów.

Należy przyznać, że Amerykanie nie mieli wówczas już zbyt wielkiej marzy manewru. Miejscowa ludność nigdy nie pałała do nich sympatią, a po kilku latach bezowocnej okupacji antyamerykańskie sentymenty sięgnęły zenitu. Nie dało się ciągnąć tej operacji dalej bez znaczących nakładów finansowych i wojskowych. A nawet gdyby takie zastosowano, wynik byłby bardziej niż wątpliwy. Podziały etniczne i religijne w Iraku, brak długofalowego strategicznego planowania i chęć porzucenia roli światowego żandarma (Barack Obama szczyci się tym, że został wybrany, by kończyć wojny, a nie rozpocząć nowe) zmusiły hegemonia do kapitulacji.

Wyjście Amerykanów, wspierany przez szyicki Iran rząd Al-Malikiemiego, ros-

nąca frustracja sunnitów oraz wojna domowa w Syrii, która wybuchła w 2011 r., stworzyły zaś idealne podłoże dla wybuchu sunnickiej rebelii pod znakiem IS. Pomógł w tym bez wątpienia także wybuch chaosu w Libii po obaleniu Muammara Kaddafiego, umożliwiając wolny przepływ broni i bojowników do Syrii. Zachód również pomógł uzbroić islamistów, usiłując wesprzeć świeckich rebeliantów walczących z reżimem Baszara al-Asada w Damaszku. Syryjska Wolna Armia okazała się słaba i szybko została wyparta przez bardziej radykalne ugrupowania, które przejęły dostarczone przez Zachód uzbrojenie.

W tym czasie kilka tysięcy weteranów armii Saddama zainstalowało się w jednej z najbiedniejszych prowincji Syrii – Raqqa na północy, skąd w końcu, łącząc się z islamistami, przystąpili do ofensywy w celu dokonania zemsty i ustanowienia w Iraku i Syrii sunnickiego kalifatu.

### **Od egoizmów do chaosu**

Wytykanie palcem wyłącznie Amerykanów byłoby jednak niesprawiedliwe. Za pomocą Iraku kilka państw próbowało i wciąż próbuje załatwić własne interesy. Izraelczycy usilnie wspierali amerykańską inwazję, licząc, że zarówno w Damaszku, jak i w Bagdadzie powstaną proamerykańskie rządy, co miało osłabić szyicki Hezbollah zwalczający żydowskie państwo z Libanu oraz radykalny szyicki Hamas panujący w Strefie Gazy. Iracy i syryjscy sunnici zaś od początku mieli wsparcie państw Zatoki Perskiej, które obawiają się szyickiego Iranu i własnych szyickich mniejszości. Szacuje się, że kraje te dostarczyły dżihadystom spod znaku IS broni i amunicji o wartości 25 mld. dol., mając nadzieję na przejęcie władzy w Syrii przez sunnitów, gdzie stanowią oni ponad

70 proc. ludności. Mimo że obecnie większość tych państw dołączyła do międzynarodowej koalicji przeciwko Państwu Islamskiemu, niektóre z nich wciąż udzielają mu po kryjomu militarnego i finansowego wsparcia.

Iran tymczasem, w 90 proc. szyicki, przyczynił się do krwawej jatki w Iraku, broniąc rządu al-Malikiego z całych sił. Bezpieczeństwo Iranu jest zdaniem władz w Teheranie w dużej mierze zależne od w miarę przyjaznego szyitom rządu w Bagdadzie. Chodzi m.in. o ochronę pól naftowych znajdujących się na południu kraju, na terenach przygranicznych. Do Iraku przenikły setki agentów irańskich służb specjalnych, irańskie pieniądze i broń, zwiększając niestabilność i atmosferę nieufności. Według ostatnich doniesień irańscy Strażnicy Rewolucji tworzą w Iraku paramilitarne grupy szyitów.

Turcja także dołożyła starań, by zaognić konflikt. Ankara od 1984 r. czyni co w jej mocy, by osłabić kurdyjskich separatystów. Mimo że pod koniec czerwca turecki parlament przegłosował prawo, które ma dać amnestię bojownikom Partii Pracujących Kurdystanu (PKK), rząd premiera Recepta Tayyipa Erdoğan'a wciąż bardziej obawia się możliwości powstania kurdyjskiego państwa na południu kraju niż islamskich radykałów w Iraku. Dowodem na podwójną grę Ankary jest to, że Islamskie Państwo Iraku (ISI), powstałe w 2006 i walczące od 2011 r. z reżimem Baszara al-Asada w Syrii, otrzymywało broń i aktywne wsparcie logistyczne ze strony Turcji. Bojownicy ISI bez problemu przenikali przez turecką granicę. Kiedy w 2013 r. doszło do rozłamu w ISI i sporu z innymi, bardziej radykalnymi frakcjami islamistów, który ostatecznie doprowadził do powstania najpierw Islamskiego Państwa Iraku i Lewantu (ISIL), a następnie

Państwa Islamskiego, granica turecka pozostaje dla nich otwarta.

Turcy, w większości sunnici, są rozdarci między chęcią zadowolenia swojego głównego sojusznika USA a zwalczania nacjonalistycznych sił kurdyjskich w regionie. Dowodem na to jest niedawna wypowiedź Erdoğana: „Nikt nie może oczekiwać ode mnie, że będę zwalczał IS”. Ankarą obawia się, że Kurdowie odniosą zwycięstwo w walce z islamistami i wykorzystają je do tego, by forsować swoje plany utworzenia niezależnego kurdyjskiego państwa.

### **Sojusz amerykańsko-syryjski?**

To wszystko stawia USA w trudnej sytuacji. Barack Obama jak dotąd konsekwentnie unikał wnikania Ameryki w kolejny konflikt na Bliskim Wschodzie. Do działania w Syrii

nie skłonił go nawet przypadek użycia broni chemicznej wobec syryjskich cywilów. Ale po tym, jak siły Państwa Islamskiego (IS) opanowały znaczne obszary Iraku i Syrii, a światem wstrząsnęła egzekucja amerykańskiego reportera Jamesa Foley'a, był zmuszony uznać, że IS stanowi zagrożenie dla interesów Stanów Zjednoczonych. To oznacza, że na długą metę będzie zmuszony współpracować z reżimem Baszara al-Asada, który określił mianem krwiożerczej dyktatury i któremu wyznaczał raz za razem „czerwone linie”. Brytyjski „The Independent” twierdzi, że USA już wsparły Damaszek wiedzą wywiadowczą. Byłby to bardziej niż egzotyczny sojusz. Ale jak powiedział w rozmowie z „The Independent” Chas Freeman, były ambasador USA w Arabii Saudyjskiej, „dziwniejsze rzeczy zdarzały się już na Bliskim Wschodzie”.

# Kieżun, personalizacja i zapomniana dekomunizacja



**BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI**

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

**Sprawa agenturalnej przeszłości profesora pokazuje nieustającą aktualność problemu niedokonanej dekomunizacji i lustracji.**

Gdy przed rokiem opublikowaliśmy pierwszy numer „Nowej Konfederacji”, opierając go na tezie prof. Witolda Kieżuna o neokolonizacji Polski, pewien starszy o pokolenie kolega po fachu wyraził swoje zdziwienie. „Przecież on płynął w głównym nurcie PRL. Gdy inni się narażali, i płacili za to przynajmniej karierami, on dobrze żył z ówczesną władzą” – mówił.

## Problemy, nie osoby

Odpowiedziałem, że wiem o tym. Taka kariera w NBP, PAN, ONZ wymagała przecież w tamtych latach jakiegoś pójścia na układ z władzą. Kieżun był ewidentnym członkiem PRL-owskiego establishmentu, nawet jeśli z poszczególnymi jego członkami i frakcjami wchodził niekiedy w spory, a nawet konflikty. Jednak w „NK” zajęliśmy się neokolonizacją nie ze względu na postać profesora, ale ze względu na wagę jego tezy.

Znane i uznane w skali planety kredo amerykańskich dziennikarzy, aby „zawsze skupiać się na problemie, nie na osobie”, wciąż się w Polsce nie przyjęło. Mimo

dramatycznego niedoboru elit na każdym kroku króluje u nas fiksjacja na punkcie personaliów i cech indywidualnych, z pry-matem tego, kto mówi, nad tym, co mówi.

Nie inaczej było i jest z prof. Kieżunem. Przez dobre dwie dekady pies z kulawą nogą nie interesował się (w świecie mediów) jego dorobkiem naukowym ani nim samym. Dopiero w ostatnich kilku latach były powstaniec został wypromowany na prawicy na szeroko rozpoznawanego bohatera bez skazy. Wiem skądinąd o różnych pomysłach na polityczne skonsumowanie jego legendy, i być może jest to jakieś, częściowe przynajmniej, wyjaśnienie tej kreacji. Na pewno wpisała się ona też w zapotrzebowanie na autorytety, zwłaszcza na sędziwych łączników z prehistoryczną już niemal – ze względu na skalę XX-wiecznej dewastacji naszego kraju – Polską przedwojenną.

## Były autorytet moralny

Z tego punktu widzenia to oczywiście wielka szkoda, że Kieżun był tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie „Tami-

za”. Opublikowane przez Sławomira Cenckiewicza i Piotra Woyciechowskiego dokumenty zdają się nie pozostawiać tu żadnych wątpliwości. I jest to niezależne od intencji autorów i redakcji „DRz”, cokolwiek by o nich mówić. Oraz niezależne od różnych słabości samego artykułu. Natomiast reakcja profesora, niezborna i emocjonalna, co do zasady to potwierdza: oto kolejny, który „nie donosił, a jak nawet donosił, to nie szkodził”, a tak w ogóle to ograł SB i trzymał oficera prowadzącego w garści. Już to przerabialiśmy.

Oczywiście, nie znosi to innych zasług profesora. Diabeł tkwi też w szczegółach, owe setki kart z teczki „Tamizy” ktoś powinien dokładnie przestudiować pod kątem poziomu szkodliwości donosów i skuteczności rzekomej gry Kieżuna z SB. Nie ulega jednak dla mnie wątpliwości, że pójście na agenturalną współpracę z tajną służbą satelickiego wobec Moskwy państewka jest wielkim złem.

Wieloletnia agenturalność dyskwalifikuje Kieżuna – przynajmniej w moich oczach – jako autorytet moralny. I kładzie się cieniem na jego karierze w czasach PRL. Inaczej mówiąc: jako osobowy wzór do naśladowania wcześniejszy bohater wojenny Witold Kieżun kończy się dla mnie wraz z rozpoczęciem pisania donosów do SB.

### **Dorobek pozostaje**

Jednocześnie jednak nic się nie zmienia w kwestii intelektualnego dorobku profesora. Tak jak można spotkać dobrych lekarzy będących złymi ludźmi, tak twórczość intelektualistów przekracza ich cechy osobiste, a niekiedy nawet ich życie. Niedawna teza Kieżuna o neokolonizacji Polski po 1989 r. – sądzę, że najważniejsza w całym jego dorobku – pozostaje o tyle

fundamentalną, o ile wciąż nieprzyswojoną diagnozą polskiej rzeczywistości.

I tu warto podkreślić, że po trzech latach od ogłoszenia tej tezy „Nowa Konfederacja” nadal jest jedynym w Polsce środowiskiem, które potraktowało ją serio, poddając krytyce i pochwale, robiąc stałym elementem analiz bieżącej rzeczywistości. Podczas gdy rozporządzające wielokrotnie większymi zasobami ośrodki ograniczały się do ogrania jej jako ciekawostki, robiąc jedynie sporadyczne wywiady „neokolonizacyjne” z Kieżunem (potem także z przedstawicielami „NK”).

### **Kreacji prof. Kieżuna na autorytet nie towarzyszył – poza „Nową Konfederacją” – żaden znaczniejszy, widoczny namysł nad jego tezą o neokolonizacji Polski**

Nie chodzi mi oczywiście o to, że ktokolwiek ma obowiązek z diagnozą neokolonialną się zgadzać. Rzecz w tym, że to teza tak wywrotowa, burząca tak wiele nawyków myślowych i hierarchii wartości, iż zasługuje na to, aby potraktować ją poważnie. I albo włączyć ją do codziennego myślenia, albo spróbować obalić. Tymczasem kreacji prof. Kieżuna na autorytet nie towarzyszył – poza „NK” – żaden znaczniejszy, widoczny namysł nad neokolonizacją. Znów: po pierwsze osoba, furda problem.

Co więcej, teraz dopiero, już po ujawnieniu agenturalnej przeszłości profesora, czytam u niektórych pravicowych publi-

cystów, że oni się z diagnozami Kieżuna nie zgadzają. Naprawdę trzeba było ujawnienia materiału o „Tamizie”, żeby dojrzeć do takiej deklaracji?

W „NK” po wewnątrzredakcyjnej dyskusji na ten temat byliśmy zgodni o tyle, że w sprawie neokolonizacji nic się dla nas po publikacji „Do Rzeczy” nie zmienia. I będziemy ten temat nadal drażnić, bo dwa poświęcone mu rozdziały z „Patologii transformacji” Kieżuna są co do istoty przełomowe, ale też dalece niewystarczające i pełne teoretycznych słabości. Tak więc „trzeba orać”.

### Nie tylko Kieżun

Wracając natomiast do polskiej i prawicowej fiksacji na punkcie osób zamiast problemów i biografii zamiast tez, w sprawie prof. Kieżuna ma ona jeszcze dwa ważne wymiary. Po pierwsze, gdy to „nasz” okazał się agentem, część do tej pory jednoznacznie prolustracyjnych osób zaczęła powtarzać w obronie „Tamizy” argumenty rodem z „Gazety Wyborczej”. Zabrakło tylko epitetu „podłości”, fraz o „esbeckim szambie” i „wielokrotnie kserowanych świstkach”. Jakże smutny przykład moralności Kalego.

Drugi i ważniejszy aspekt jest natomiast taki, że sprawa prof. Kieżuna pokazuje nieustającą aktualność problemu niedokonanej dekomunizacji i lustracji. Gdyby nie to, mielibyśmy zapewne kwestię „Tamizy” dawno przedyskutowaną.

Co jednak istotniejsze, warto wciąż powtarzać, że polską przestrzeń publiczną ćwierć wieku temu zdominowało i wciąż w niej dominuje – nie przez wzgląd na kwalifikacje, ale na siłę zawłaszczenia – pokolenie dzisiejszych 60-latków. I sta-

wiam dolary przeciw orzechom, że wśród przedstawicieli tej wyrosłej w PRL generacji jest jeszcze wielu nieujawnionych eksagentów. Każdy z nich – by pominąć tu wymiar moralny i skupić się na praktycznym – podatny na szantaż kogoś, kto akurat o „wielokrotnie kserowanym świstku” wie i ma pomysł, jak go wykorzystać. Z możliwymi marnymi skutkami dla nas wszystkich, gdy chodzi np. o dziennikarzy, i zgoła tragicznymi, gdy chodzi o polityków.

Tymczasem prawica głównego nurtu zachowuje się w sprawie prof. Kieżuna tak, jakby patrzyła na drzewo i nie widziała lasu. A generalnie, tak ochoczo walcząca między sobą o sprawy trzeciorzędne formacja zdaje się w pełni aprobować lub przynajmniej milcząco akceptować politycznie zaordynowane porzucenie agendy antykomunistycznej po 2007 r. Dopiero co był to rdzeń jej tożsamości i główny postulat polityczny. Teraz – sprawa marginalna, ponoć nieaktualna.

### Konieczny ból

Czyżby? Patrząc choćby na problemy z lojalnością niektórych ukraińskich dowódców po rosyjskiej napaści, a teraz także na sprawę prof. Kieżuna, mam przeciwne zdanie. I twierdzę, że to kwestia elementarnej trzeźwości w ocenie i poczucia dobra wspólnego. „Długi cień PRL” ciągle nas spowija i będzie spowijał jeszcze przez wiele lat. Tylko prawda dekomunizacji i lustracji może nas od niego wyzwolić. To bolesna, ale wciąż konieczna operacja.

I żeby nie było: piszę to jako trzydziestoletni antykomunista, który ma ojca z przeszłością w PRL-owskim wojsku (z epizodem w WSW) i w PZPR.



# Budujemy kontrolitę dla Polski

Z Krzysztofem Mazurem rozmawia Krzysztof Wołodźko



## KRZYSZTOF MAZUR

Doktor politologii, szef Rady Klubu Jagiellońskiego

**Nasz program świadomie kierujemy do 5 proc. naszego społeczeństwa. Rzecz w tym, że to te 5 proc., które może pchnąć Polskę w kierunku większej podmiotowości.**

***Jaka jest geneza Klubu Jagiellońskiego? I skąd ta nieco snobistyczna nazwa?***

Klub Jagielloński powstał w 1989 r. i początkowo związany był z Uniwersytetem Jagiellońskim. Ale szybko zaczął rozszerzać swoją działalność na inne ośrodki akademickie. Nazwa odnosiła się także do jagiellońskich tradycji I Rzeczypospolitej, które – jak sądzę – były ostatnim realnym etapem w naszych dziejach, gdy byliśmy w pełni podmiotowym państwem. Dziś zamieniliśmy smutnego Stańczyka na taki obrazek: z okazji naszego 25-lecia wydaliśmy znaczek pocztowy, na którym w 2089 r. (100-lecie KJ i III RP) polski astronauta wbija polską flagę na Marsie. Chodzi nam o Polskę realizującą śmiałe wizje modernizacyjne i w ten sposób wzmacniającą swoją podmiotowość.

***To dość gwałtowna zmiana.***

Przez lata Klub przechodził metamorfozy. Dziś wyróżnia nas przekonanie, że w Polsce wyraźnie zaznacza się problem pokoleniowy, który najboleśniej dostrzegamy właśnie jako dwudziesto- i trzydziestolatkowie. Polega on na tym, że po 1989 r. powstał system, w którym ludziom z naszych pokoleń zaproponowano drabinowy model awansu. Jest to wyraźnie widoczne na przykładzie systemu politycznego: na górze tej drabiny stoją bonzowie partyjni. System finansowania ugrupowań i ordynacja wyborcza wyglądają tak, że musisz się piąć od najniższego szczebla i zawsze jesteś uzależniony od tych na samej górze. I nie jest ważne to, co sobą reprezentujesz. Nie liczą się też interesy tych na dole drabiny.

Podobnie rzecz wygląda w innych obszarach: na uniwersytecie mamy bardzo feudalny, hierarchiczny system relacji; w systemie medialnym, który bardzo mocno się już scementował i został podpo-

rządki logice partyjnej; na gruncie gospodarczym, gdzie kluczowe obszary rynku skrupulatnie podzielono między konkretnych graczy i grupy wpływu. Szklany sufit jest w Polsce faktem: albo się podporządkowujesz jego logice, albo cię nie ma.

***To tezy bardzo ogólne, by nie powiedzieć – dość dobrze już znane ogólniki, także skonsumowane politycznie.***

Podam konkretny przykład. Swojego czasu rozmawiałem w górskim schronisku z młodym inżynierem, który pracował w znanej firmie telekomunikacyjnej. Dyskusja trwała całą noc, w jej trakcie dużo rozmawialiśmy o Klubie Jagiellońskim. Stwierdził: „To wszystko bardzo ciekawe, ale czemu właściwie ma służyć? To chyba zabawa tylko dla humanistów, bo mnie to nie dotyczy”. Ale gdy następnego dnia schodziłem z nim do pobliskiej wioski, nagle zmienił zdanie.

### ***Co powiedział?***

Że zatrudniony jest w firmie, która wypracowuje zysk dla francuskiego skarbu państwa. I w trakcie firmowych spotkań integracyjnych, gdy sobie nieco wypiją, Francuzi siedzą osobno, Polacy osobno. Po wódce reprodukuje się, widać, podział na namiestników kolonii i ludność tubylczą. Polacy zatrudnieni w tej firmie podskórnie czują, że jest w tym coś niedobrego, że efekt ich pracy nie ma wymiaru patriotycznego, że trafia do kogo innego.

Później dodał, że po jednej z takich imprez wrócił do swojego mieszkania na warszawskiej Ochocie. I wtedy uświadomił sobie, że to mieszkanie kupił od Irlandczyka, który w okolicach 2003 r. nabył je jako lokatę kapitału i odsprzedał w 2007 r.

Oczywiście Irlandczyk odsprzedał to lokum z dwukrotnym przebicciem, więc ten młody Polak będzie je spłacał dobrych trzydzieści lat. W dodatku mój rozmówca wziął kredyt w amerykańskim banku, w szwajcarskich frankach. I wtedy zrozumiał, jak łatwo ulec iluzji bycia panem swojego życia. W rzeczywistości żeby realnie zdobyć dobrą pracę i kupić w Polsce mieszkanie, trzeba spłacić swoją kontrybucję na rzecz przysłowiowych Francuzów, Szwajcarów i Amerykanów.

**Szklany sufit jest w Polsce faktem: albo się podporządkowujesz jego logice, albo cię nie ma**

### ***I konkretnego Irlandczyka.***

No tak. Ale proszę zwrócić uwagę: rzecz nie tylko w krytycznym ujęciu naszej rzeczywistości, w dostrzeżeniu zablokowanych ścieżek awansu i kolonialnym charakterze współczesnej Polski. W Klubie Jagiellońskim uważamy, że skoro chcemy Polski podmiotowej, to należy tworzyć kontrelitę, o wiele bardziej oddolną, zakorzenioną w społeczeństwie, o wiele mocniej realizującą interesy narodowe.

Posłużę się metaforą pontonu. W tym modelu awansu, który uważamy za znacznie lepszy, miarą wartości osoby nie są gry oparte na podlizywaniu się komukolwiek wyżej postawionemu, ale realna zdolność budowy własnego zespołu grającego do jednej bramki. Jeśli umiesz stworzyć taką grupę, na gruncie społecznym, intelektualnym, ideowym, to rośnie też twoja pozycja. Trochę jak w pontonie:

musisz najpierw wpompować w niego powietrze, żeby w ogóle popłynął. I tak się powinna odbywać selekcja elit, a nie poprzez namaszczenie przez kogoś w Warszawie. Dlatego przestaliśmy wierzyć w możliwość dokonania odgórnych przemian przy obecnie panujących zasadach gry. Prawdziwa zmiana wymaga konsekwentnej pracy oddolnej nastawionej na długofalową zmianę społeczną.

***W waszym środowisku role eksperckie, role liderów pełnią i profesorowie, i studenci. Ale może to świadczyć raczej o braku kadr niż o alternatywnym modelu działania.***

U nas faktycznie karierę może robić i szesnastolatek, i emeryt. Wynika to z tego, że dla każdego z nich jest miejsce w strukturze Klubu. Podstawowa oferta kierowana jest do pierwszych klas liceów i nazywa się Akademia Nowoczesnego Patriotyzmu.

W drugich i trzecich klasach LO chcemy z kolei stworzyć konfederacje: namawiać najbardziej aktywnych ludzi z ANP, żeby zawiązywali lokalne konfederacje w swoich gminach, które będą działały na rzecz trzech konkretnych spraw związanych z pozytywnymi zmianami w ich miejscu zamieszkania.

Trzon naszej działalności wiąże się natomiast z czasem studiów, gdzie naszym sztandarowym projektem jest cykl seminariów pod nazwą Akademia Dobrego Państwa. Wyraża się w tym nasza tęsknota za uniwersytetem z prawdziwego zdarzenia, opartym na samokształceniu, relacjach mistrz–uczeń oraz spotkaniach z praktykami.

Dla osób, które ukończyły studia, mamy z kolei kilka ścieżek dalszego działania. Jeśli kogoś interesują sprawy jego miasta, to zachęcamy do zakładania Ośrod-

ków Studiów o Mieście, które skupiają środowiska nastawione na realną zmianę. Bardzo silny ośrodek lokalny tworzy Marcin Ociepa w Opolu. To rzecz odpowiednia dla potencjalnych samorządowców, ludzi z politycznym temperamentem, którzy nie widzą się w partiach ze względu na drabinowy system awansu. Chcemy, żeby docelowo OSOM-y działały we wszystkich miastach na prawach powiatu i skupiały wokół siebie realną elitę tych miast.

***Macie także własne media.***

Tak, [portal Jagielloński24.pl](http://portal.jagielloński24.pl), który jest ofertą działania dla osób mających temperament dziennikarski. Dzięki niemu wychodzimy szeroko z naszymi ideami, a także prowadzimy dialog pomiędzy ośrodkami Klubu w różnych częściach Polski. Ponadto tworzymy kwartalnik kulturalno-polityczny „Pressje”, przeznaczony raczej dla „filozofów polityki”, ludzi, którzy odnajdują się w sferze bardziej abstrakcyjnej refleksji. Rolę swoistego medium pełni również [Demagog.org](http://Demagog.org), czyli obywatelski internetowy watchdog, w którym sprawdzamy prawdomówność polityków.

Mamy również swoich ekspertów, ludzi łączących temperament polityczny czy społeczno-gospodarczy z naukowym podejściem do tych zagadnień. Teraz skupiamy się na dziesięciu wyzwaniach modernizacyjnych dla Polski: to oferta działania dla osób mających aspiracje bycia (przyszłą) profesurą.

***W pana wypowiedzi o waszych mediach i kwestiach debaty politycznej widzę pewną lukę: jakby żadne z tych mediów nie spełniało wystarczająco funkcji dyskursywno-politycznej. Czy tę lukę ma zapłacić wasza współpraca z „Nową Konfederacją”, która rusza tej jesieni?***

Rzeczywiście nasz kwartalnik „Pressje” ma charakter wyraźnie filozoficzno-teologiczny i wielu osobom brakuje namysłu dużo bardziej nastawionego na „tu i teraz”. Także z tych powodów od samego początku z dużym szacunkiem i sympatią śledziłem to, co robi „Nowa Konfederacja”. Dostrzegałem także wcześniej duży potencjał kwartalnika „Rzeczy Wspólne”. Nie podobało nam się jednak to, że wszystko, co związane z Fundacją Republikańską, skupia się wokół osoby Przemysława Wiplera i jego temperamentu politycznego. Nie był to dobry prognostyk na przyszłość.

Gdy środowisko „RW” z Bartłomiejem Radziejewskim na czele rozstało się z Fundacją Republikańską i zaczęło robić coś swojego, okazało się to naprawdę świetnym pomysłem. Bardzo spodobał się nam numer skupiony wokół książki „Prześniona rewolucja” Andrzeja Ledera. To lektura bardzo lewicowa w swojej ornamentyce, ale poruszająca bardzo istotne zagadnienia i podjęta na poważnie w dyskusji przez środowisko „Nowej Konfederacji”. To także nasz temperament intelektualny: nie zamykać się w swoim ogródku. Rozmawiać o sprawach ważnych dla Polski, nawet jeśli z autorami nie z naszej bajki. Dodam do tego nasze zainteresowanie wątkami postkolonialnymi i neokolonialnymi.

Ponadto bardzo bliska nam jest koncepcja stworzenia medium działającego nie z nadania politycznego, nie czerpiącego z grantów, środków publicznych, ale na podstawie kapitału zgromadzonego dzięki sympatykom idei pisma i jego czytelnikom. Liczymy zatem na to, że Klub Jagielloński i „Nowa Konfederacja” będą z sobą bardzo ściśle współpracowały. Nasze środowiska wyznają bardzo podobne wartości i znakomicie się uzupełniają.

***W naszej rozmowie tworzy pan sugestywny obraz alternatywnej elity. Ale jesteście skazani na współpracę z elitą realną. To choćby kwestia korzystania z grantów czy współpracy ideowo-politycznej z działaczami partyjnymi. Pytanie, na ile to szansa do wykorzystania, na ile obciążenie i cień na waszych deklaracjach.***

Prowadzimy pewną grę, która musi rodzić napięcie. W istniejącej sytuacji istnieją dwa ryzyka. Jedno polega na powtórzeniu losu „Pampersów”, czyli młodych prawicowych ideowców, którzy weszli w struktury władzy i mediów na początku lat 90. Na początku ludzie ci mieli szczytne ideały, ale z czasem stali się nieodróżnialni od tych, przeciw którym występowali, stali się dokładnymi reprodukcjami ludzi systemu. I trudno było na podstawie ich działań wskazać, czy np. wciąż są, czy już nie są katolikami. Przedstawiciele drugiej opcji nazwałbym „jurkowcami” (to przykład niedoskonały o tyle, że Marek Jurek znów zaczął współpracę z Prawem i Sprawiedliwością). To ludzie, którzy mają bardzo szczytne idee, ale mają równocześnie ogromny problem z tym, żeby znaleźć zasoby do realizacji tych idei.

W Klubie Jagiellońskim szukamy złoto tego środka, takiej formuły działania, która umożliwi pozyskiwanie partnerów i zasobów dla naszych projektów, ale nie prowadzi do utraty twarzy i wiarygodności: także wobec samych siebie.

### ***Gdzie przebiega granica?***

Kluczem jest podmiotowość. Współpracujemy z wieloma politykami, samorządowcami, przedsiębiorcami. Jeśli są gotowi do współpracy bez stawiania nas przed kwestią: pomogę wam, jeśli będziecie

moimi żołnierzami, to droga do negocjacji jest otwarta.

***Mimo że działacie od 1989 r., jesteście jako KJ słabo rozpoznawalni w przestrzeni publicznej, ideowej.***

To prawda. Często o tym rozmawiamy: jak zwiększać rozpoznawalność, nie tracąc swojego etosu. Kilka lat temu podjęliśmy bowiem bardzo świadomą refleksję: że w takich środowiskach jak nasze jest bardzo dużo autolansu, parcia na szkło, a mało realnej pracy. Stąd w ramach klubowej kultury organizacji promujemy przede wszystkim tych, którzy wykonują ciężką pracę, a nie tych, którzy czują się wyłącznie dobrze w studiach telewizyjnych. Wynika to także z tego, że przed 2006 r. byliśmy kojarzeni przede wszystkim z kawiernianymi intelektualistami, którzy dobrze wyglądają w mediach, ale mało w gruncie rzeczy robią.

***Czy próba zbudowania ośrodka w Warszawie ma być antidotum na tę sytuację?***

To poważniejsza kwestia. Polska jest tak zbudowana, że realizacja ogólnokrajowego programu nie jest możliwa bez silnego ośrodka warszawskiego. Zatem trochę wchodzimy w logikę systemu, ale z bardzo mocnym przekonaniem dotyczącym konieczności zmiany.

Podam przykład: jako ludzie zaangażowani w OSOM-y jesteśmy zdecydowanymi krytykami polaryzacyjno-dyfuzyjnego rozwoju III Rzeczypospolitej. Z grubsza polega on na tym, że w skali państwa ma być kilka dużych ośrodków metropolitarnych zasysających kapitał i energię społeczną. A szeroko rozumiana prowincja ma co najwyżej korzystać na

„skapywaniu dóbr”. Chcemy zatem stworzyć w stolicy OSOM Warszawa, który będzie jednocześnie promował koncepcję Polski policentrycznej. Nasz kraj będzie się faktycznie rozwijał wówczas, gdy będziemy mieli minimum trzydzieści ośrodków miejskich, w rodzaju Bielska-Białej, Częstochowy, Nowego Sącza, bo taki mają charakter państwa europejskie. Jeśli znajdziemy w stolicy ludzi – a sądzę, że tak będzie – którzy będą zgadzali się z naszą refleksją, to będą naszym naturalnym partnerem do współpracy. A w dłuższej perspektywie, dzięki temu, kiedyś na Radzie Ministrów kwestie związane z Nowym Sączem będą tak istotne jak sprawy Krakowa czy Warszawy.

***Ale czy znajdzie się jeszcze miejsce na Klub Jagielloński w stolicy? Czy nie będziecie „ciałem obcym”?***

Warszawa ma swoje szerokie kręgi kulturalne, swój intelektualny dorobek. Mam ogromny szacunek do tego, co się tam dzieje. Uważam jednak, że pośród centroprawicowych, stołecznych środowisk nie ma takiego, które miałyby tak szerokie spektrum działania jak my. Nie ma takich grup, które na przykład równocześnie miałyby swój kwartalnik intelektualny, a przy tym pracowały nad projektami edukacyjnymi w skali porównywalnej z naszą. Albo dysponowałyby równocześnie i zapleczem eksperckim, i działalnością społeczno-edukacyjną, i własnymi mediami.

Poza tym my tak naprawdę jesteśmy w stolicy obecni od lat, czego przykładem jest Akademia Nowoczesnego Patriotyzmu organizowana na Mazowszu. Tworzą ją ludzie skupieni wokół Adama Zielińskiego z warszawskiego ZHR. Współpracujemy także z Piotrkim Trudnowskim, twórcą

„Godziny dla Polski”, czy Jankiem Abgarowiczem, spiritus movens Fundacji Odpowiedzialności Obywatelskiej. Ponadto w Warszawie jest pewnie ze stu absolwentów Klubu, którzy na różnym etapie życia pojechali za chlebem do stolicy. To z tymi środowiskami chcemy tworzyć warszawski oddział Klubu, rozwijając to wszystko, co już jest naszym dorobkiem.

***Skoro wspomniał pan o Fundacji Republikańskiej. Z jednej strony Klub Jagielloński kojarzony jest z myślą wolnorynkową, z drugiej – część publicystów waszych mediów nazywana jest socjalistami przez liberalnych radykałów.***

Powiem we własnym imieniu, bo tu nie ma jednej „doktryny wiary”. Bardzo inspirujące jest dla mnie stosunkowo niedawne przemówienie Viktor Orbána do młodzieżówki rządzącej na Węgrzech partii. Stwierdził wówczas, że to, co się dzieje w jego kraju, jest ściśle związane z kryzysem po 2008 r., który pokazał, iż wszystkie liberalne doktryny na temat tego, że kapitał nie ma narodowości, są nieprawdziwe. To oznacza, że dziś w skali globu konkurują z sobą nie przedsiębiorstwa czy państwa, ale przede wszystkim gospodarki narodowe. To konkurencja w obszarze pracy, technologii, gałęzi gospodarki opartych na wiedzy. Żeby wspólnota Węgrów liczyła się w tej konkurencji, potrzebne jest nowe zdefiniowanie roli państwa. Nie może być ono tylko nocnym stróżem, bo wtedy jego gospodarka przegrywa globalną walkę.

Koresponduje to z polskimi doświadczeniami. Swojego czasu prezes Fakro [polska firma działająca także na rynkach zagranicznych, produkująca m.in. okna

dachowe – przyp. K.W.] przygotował interesującą prezentację. Globalnym konkurentem dla tej firmy jest duńskie prywatne przedsiębiorstwo Velux. Prezentacja opierała się na porównaniu wsparcia, którego państwo polskie udziela Fakro, i tego, które Dania oferuje firmie Velux. W ciągu 45 minut pokazał dziesiątki sposobów, w jakie duńskie państwo pomaga Veluxowi wygrywać globalną konkurencję. Z podsumowania wynikało, że Polska musiałaby przynajmniej podwoić swoje działania, by to Fakro mogło być górą.

W dyskusji po prezentacji pojawił się oczywiście silny spór doktrynalny. Prezes Fakro dobrze wiedział, że przyszedł do środowiska zdecydowanie wolnorynkowego, które równocześnie chce pomagać przedsiębiorcom. Tu pojawiał się interesujący dylemat: czy wolnorynkowcy bardziej chcą pomagać rodzimym biznesmenom, czy bardziej zależy im na realizacji utopii wolnorynkowej. W tym sporze jednoznacznie byłem po stronie tych, którzy chcieli pomagać Polsce i polskim przedsiębiorcom. Bo tak wygląda realna konkurencja w świecie, a bardzo wielu korwinistów może co najwyżej stwierdzić, że trzeba wreszcie wolnorynkowe postulaty wprowadzić także w Danii. Jak również w Niemczech, w USA, na całym świecie. Bez światowej liberalnej rewolucji ani rusz. [śmiech].

Ale znów wracamy do kwestii fundamentalnej: silna Polska potrzebuje nowych elit. Bo np. podnoszenie podatków przy takim kształcie państwa, jaki mamy dziś, oznacza większe marnotrawstwo środków publicznych.

***Podsumowując: stawiacie na zmianę elit na drodze aktywności społecznej. A zmiana (meta)polityczna możliwa***

***będzie wtedy, gdy także dzięki samoorganizacji na nowo otwarty zostanie awans społeczny, a przynależność do elity przestanie być kwestią siłwiarskiej kooptacji i podporządkowania. To rodzi pytanie, na ile obecna Polska to państwo, które wasze środowisko uważa za własne.***

Nie stawiamy tej pierwszej kwestii jako credo, ale sądzę, że to duża część naszej praktyki.

Co do Polski: innego państwa nie mamy. Nie krzyczymy o łże-elitach, nie lubimy sekciarstwa, które każdą niespełniającą licznych zastrzeżeń środowisko-ideologicznych formę działalności publicznej traktuje jako kolaborację. Dlatego redaktorzy „Pressji” biorą udział w debatach młodych środowisk intelektualnych w Belwederze, choć w wielu miejscach nie zgadzamy się z polityką Bronisława Komorowskiego.

Ale w pana pytaniu widzę inny ciekawy wątek: na ile chodzi o zmianę społeczną rozumianą jako masowy ruch, a na ile jako wymianę elit. Sądzę, że zmiana elit jest także kwestią oddolną, ściśle wiąże się z samoorganizacją. Jeżeli udaje się nam w Częstochowie zgromadzić grupę trzystu osób, które tworzą nową wizję rozwojową miasta na trzydzieści najbliższych lat, to przecież to również program, który działa na rzecz pracującego tam mechanika samochodowego i jego rodziny. Tego człowieka zupełnie nie musi interesować, co robi Klub Jagielloński, najważniejsze, żeby miał z tego pożytek. Chodzi o to, by zarówno elity lokalne, jak i te funkcjonujące bardziej centralnie miały faktyczny związek z interesami polskiego społeczeństwa. Nasz program świadomie kierujemy zatem do 5 proc. naszego społeczeństwa. Rzecz w tym, że to te 5 proc., które może pchnąć Polskę w kierunku większej podmiotowości.



### **KRZYSZTOF WOŁODŹKO**

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

## Wesprzyj nas

### Jeśli nas cenisz – wesprzyj nas!

**Podstawą naszej działalności są stałe, comiesięczne darowizny.** Nawet jeśli są niewielkie, dają poczucie stabilności i pozwalają planować aktywność.

Darowizny prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita: **09 1560 0013 2376 9529 1000 0001** (Getin Bank). W tytule przelewów najlepiej wpisać: „darowizna”. Jeśli zamierzają Państwo wspierać nas stale, bardzo prosimy o tytuł przelewu: „stała darowizna”.

### Dlaczego warto nas wesprzeć? Przynajmniej z pięciu powodów:

1. „NK” jest próbą **stworzenia niskokosztowej poważnej alternatywy dla upadających – finansowo i intelektualnie – mediów głównego nurtu.** Stąd także nowy model pozyskiwania funduszy – poprzez mecenat obywatelski

2. **dostajemy wiele sygnałów, że udaje nam się realizować założone cele:** poważnie debatować o państwie i polityce, transmitować do szerokiej publiczności ważne idee naukowe i eksperckie, aktualizować polską tradycję republikańską. Sygnały te płyną zwłaszcza od przedstawicieli inteligencji

3. począwszy od października 2013, **udaje nam się co tydzień publikować nowy numer „NK”, poruszając tematy tyleż ważne, ile nieobecne w debacie,** jak np. neokolonizacja Polski, przebudowa globalnego ładu politycznego czy władza sondaży

4. **mamy wpływ na kształtowanie opinii, zwłaszcza elit.** Czyta nas średnio 4,5 tys. osób tygodniowo, regularnie występujemy w telewizji, inspirujemy inne media do podejmowania wprowadzanych przez nas tematów, nasze teksty są chętnie przedrukowywane przez popularne portale

5. **darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) zwolnione z podatku. Co więcej, podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.



## O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

### **Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.**

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

### **Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.**

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

### **Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.**

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

**Dlaczego konfederacja?** Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

### **Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!**

## „Nową Konfederację” tworzą

### **Stali Darczyńcy:**

Sześćdziesięciu Siedmiu Anonimowych Stałych Darczyńców, Andrzej Dobrowolski, Paweł Gałus, Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Sławomir Lisiecki, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Woźny, Zbigniew Zadora

### **Pozostali Darczyńcy:**

Dziewięćdziesięciu Dziewięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski.

(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

### **Redakcja:**

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (sekretarz redakcji)

### **Stali współpracownicy:**

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Sławrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

**Grafika (okładki):** Piotr Promiński

**Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:**

Przemysław Skrzydelski

**Komunikacja internetowa:** Przemysław Skrzydelski

**Skład:** Rafał Siwik

**Wydawca:** Fundacja Nowa Rzeczpospolita

**Kontakt:** redakcja@nowakonfederacja.pl

**Adres (wyłącznie do korespondencji):**

Fundacja Nowa Rzeczpospolita  
Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa